Wpisano do kontrolki periodyków
19 Rejonowej Wypożyczalni Książek
dla Dorosłych
Dn. 20 VIII 19 60

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok III. ŁÓDŹ, 21 sierpnia 1960 r.

Nr 33 (129) Cena 1 zł

O emerytach i rencistach str. 4

OLIMPIADA STR. 3

Stefan Lewandowski, wielokrotny reprezentant Polski w biegach pracuje jako chirurg w Klinice Szczecińskiej

LECH UTRACKI

W górach KAUKAZU

Łodzianin Lech Utracki, znany polski alpinista, autor opublikowanego niedawno zbioru opowiadań alpinistycznych, zatytułowanego „Notatnik alpejski" przygotowuje nowy tom swoich opowiadań, tym razem zawierający nie tylko wrażenia z Alp, ale i z Kaukazu.

Oto fragment jednego z jego opowiadań.

red.

KAUKAZ...

Jest to dla mnie kraina, gdzie legenda i dzień dzisiejszy, iluzja i rekord sportowy są ze sobą za pan brat. Orientalizm, poezja, bajka ludowa ale przecież i śnieżyste szczyty bardzo nowoczesne w kształcie i barwach, telefon, światło elektryczne, karawany osłów i kobiety żyjące w rygorze starych rodowych praw — wszystko to jakby wrzucone do jednego worka. A przede wszystkim kapitalni ludzie; legendarne typy wskrzeszone w XX wieku. Po rozmowie z nimi przez długi czas żyję w kręgu nierealności.

* * *

Było upalne południe. Obarczony kilkudziesięcioma kilogramami dobytku, wlokłem się ze spuszczoną głową przez sięgające po pas łąki.

— Dzień dobry, dokąd idziecie? — odezwał się głos z nieba. Zdjąłem leżącą mi na łbie walizkę i spojrzałem do góry: dwa metry nade mną ze zwisającymi nogami siedział na kamieniu starzec. Wełniane spodnie do kolan oplątane również wełnianymi taśmami owijaczy były chyba równie jak on stare.

— Do Nalczyka — Zdjąłem plecak i obszedłszy głaz siadłem obok starszego — To Pana owce? Pilnujecie żeby sąsiadowi w szkodę nie weszły? — kpiłem.

Co tu pilnować. Prawdę mówiąc to ja przywykłszy tu siedzę. A i chłopaków mam na oku, żeby sobie co nie zrobili. — pokazał na dwu łobuzujących w dole chłopców.

— Widziałem już waszą wieś. Macie ładne domki, dobrze pielęgnowane pola. To przecież radosne.

— Nauczyłem się spokojnie brać co życie przynosi. O tam stoi baszta. Kiedy i kto ją zbudował nie wiadomo. Jest tylko legenda ale z późniejszych czasów. Opowiadał mi ją dziad. Tam niżej leży kamień a pod nim kości. Kości kobiety i zwierzęcia. Nad lodowcem wznosi się Katyn — Tau, góra dziewczyny Katyn. Ten cały kraj to wszystko moje, znajome, bliskie. Tu żyli moi dziadowie i tu, mimo wszystko, żyć będą moje wnuki. Setki lat liczą sobie te mury, tysiące lat niezmiennie bieleją szczyty. Opowiadam sobie i im moje legendy, patrzę na moją ziemię i czas mój się zbliża.

— A może opowie mi Pan któś ze swych legend, jakąś prawdziwie bałkarską. O tych tu ruinach, albo o Katyn. Bardzo proszę.

— Piliście ajran? Nie? To chodźmy się napić. — zręcznie zsunął się z głazu i dopiero kiedy ścieżką, a raczej jej cieniem, ruszył przez łany kwiatów, spostrzegłem, że był kulawy. Szliśmy kilka minut. On jak zjawa nieco śmieszny, nieco tra-

(Dalszy ciąg na str. 7)

KONRAD FREJDLICH

TEN DRUGI ŚWIAT (2)

Parę dni pomieszkałem w więzieniu i zaraz zacząłem na nie inaczej patrzeć. Mogłem, oczywiście wychodzić do miasta o każdej porze, tylko przed jedenastą musiałem wracać. Łatwiej mi było wyjść niż wejść, bramowy mnie znał. Był swój chłop, nie musiałem mu nawet pokazywać tego papierka od naczelnika. A ci z pawilonów, to nie znali nawet krawężnika za bramą, tylko dom znali, był zaraz za murem, na dole spółdzielnia, wino i wódki, na górze mieszkali ludzie. Akurat jedna panienka z tego mieszkania wychodziła za mąż, orkiestra grała całą noc, pan młody, brunecik w koszuli ze sztywnym kołnierzem pół nocy wyglądał przez okno.

Przechodziłem akurat pod murem, widziałem, w celach podsadzali jeden drugiego do lufcika, okna są prawie do samej góry pomalowane białą farbą olejną, o tę pannę byli zazdrośni. Bić się o nią gotowi byli, bo tutaj każdy szczegół, drobiazg najmniejszy urasta do problemu, ludzie się denerwują o byle co. Widziałem że się spierają o to, czy tamci będą szczęśliwi. A jak się kłócą, albo skarżą, to są jak dzieci, skóra z nich spada. Ta zewnętrzna, bo mają drugą skórę, skórę fikcji, tej nie zrzucają nigdy. Może tak działa izolacja, może po wyjściu na wolność jest inaczej. Ale się zachowują, jakby nie zdawali sobie sprawy z realiów, mówią jak we śnie, może wtedy są naprawdę w innym świecie.

A może to po prostu najzwyklejszy instynkt samozachowawczy, w więzieniu widać wszystko, jak w zagęszczonej kropli wody, może on pozwala się łudzić. Są zamknięci, na oczy nie widzieli miasteczka, w którym

Dalszy ciąg na str 5

Fot. A. KONDRATIUK

Nasza szkółka

Czekanie na Guillotina

„L'etat c'est moi" — powiedział pewien król, zapomniałem jaki. I chociaż głowę za powyższe ścięli dopiero jego prawnukowi, ale za to z jakimiś szykanami!

„Sztuka to ja" mówi kilkanaście tysięcy polskich „twórców" — oczywiście każdy z osobna. Jest to przekonanie szczere. I byłoby komiczne, gdyby w każdym wypadku latem nie stawało się prawdziwe. Niestety, nie są to aż takie głowy, żeby musiały polecieć...

Aktor X, reżyser Y, redaktor Z, pisarz Ypsylon: (brak czcionki), wszyscy oni, tudzież kilkanaście tysięcy ich kolegów i satelitów pracujących corocznie nad tym, żeby ukazały się cztery na krzyż książki, pokazano kilka filmów i parenaście premier teatralnych — absolutnie uważają się za pomazańców reprezentujących na zasadzie wyłączności prawdziwy talent twórczy. Bardzo to przez cały rok bawi te kilkadziesiąt milionów potencjalnych odbiorców, nie tyle ich dzieł, co plotek o nich. Bawi to naród skądinąd przyzwyczajony do tego, że taki Instytut Badań Literackich choćby, zatrudnia na etatach około 200 osób, trudniących się wydawaniem co roku mniej więcej jednej pracy książkowej. A więc wszystkich to bawi, a twórców wybrańców z tej racji szlag trafia i mają oni sensowną ambicję pokazania, że bez nich nicość.

Pokazywaniu temu służą miesiące urlopowe, przez żartownisiów nazywane dla przekory okresem kanikuły. Wówczas to pióra przestają pisać, reżyserzy i dyrygenci dyrygować, aktorzy grać, dystrybutorzy dystrybować. I kulturę i sztukę dla mas i nie mas na dwa miesiące szlag trafia. Nie ma jej i już. Co prawda wówczas okazuje się, że można się bez tych rzeczy doskonale obejść, ale człowiek ma już swoje nawyki i jak nawet nie chce iść na film, to odczuwa potrzebę pójścia do kina.

Twórcy, dyrektorzy, impresaria, i dystrybutorzy nie mówią wprost, że jadą do Juraty akurat dlatego latem, a nie kiedy indziej, żeby pokazać wyśmiewającemu ich narodowi, że bez nich kiszka z wodą. Nie, oni nie narażą się na posądzenie o prywatę, ponieważ są etatowymi ideowcami. Mówią oni tedy, że latem nie ma co kontynuować „twórczości", albowiem masy wyjechały do Juraty, albowiem naród topi się akurat w morzu i spada w przepaści w Tatrach polskich i bratnich.

Z czasem wymienieni, nawykli do utożsamiania się z masami (za co również pobierają pieniądze), sami uwierzyli w to, że jak oni wyjechali z miast, to i masy wyjechały, a w metropoliach zostały tylko szczury i straż ogniowa. Znam to uczucie. Albowiem sam byłem dzieckiem. Co drugie zaś dziecko kiedyś uważało, że jak zamknie oczy, ludzie i rzeczy, które je otaczają, przestają istnieć. Jest to taki infantylny rodzaj gry w chowanego, mający ten walor, że nie wymaga nijakiego wysiłku.

Rok w rok na letnie miesiące zamykają się w zasadzie wszystkie teatry, wyjąwszy te, do których nikt nie chodzi wówczas, kiedy istnieje na rynku jakakolwiek konkurencja. Rok w rok filmowi dystrybutorzy puszczają na ekrany same buble, których w innych warunkach nikt by nie oglądał. Telewizja zapycha program czym się da i wiem z pewnego źródła, iż pan Cześnin lada dzień zacznie czytać na wizji książkę telefoniczną, czyniąc to oczywiście z właściwym mu czarem i wywdziękiem.

Jedyne, co się ożywia latem, to owo dno chałtury. Jest to już wszakże chałtura straszliwa, ta, której nikt nie ogląda normalnie, mimo masowych filochałturowych skłonności ludu.

Ludzie od kultury co roku łżą w żywe oczy i nikt jakoś nigdy im tego wprost nie powie. Brak tego dziecka z bajki Andersena. Więc pryncypałowie „twórców", władcy kas posłusznie wierzą, że miasta zostały wyludnione. (Nie wychodzą na ulicę?) Jeśli by bowiem nawet przyjąć absurdalną liczbę, że w ciągu lata 25 procent mieszkańców miasta jest na urlopie, to zostaje jeszcze 75 procent. Jeśli przyjąć znów absurdalną liczbę, że połowa owej ćwierci wyjeżdża z miasta, to pozostałą połowa, mając wolny czas, tym chętniej odrobiłaby swoje całoroczne kulturalne zapóźnienia.

Ci, którzy decydują o istnieniu lub nie kulturalnych rozrywek powiadają, że nic, że wszyscy są na urlopie, albowiem na urlopie jest aktor X, reżyser Y, redaktor Z, pisarz Ypsylon (brak czcionki). A to zgodnie z zasadą „sztuka to ja" i dla potwierdzenia zasady „sztuka to ja".

A przecież tak między nami mówiąc, tę kulturę może robić każdy inny pierwszy lepszy, ale akurat taki, co będzie brał urlop w październiku.

Sztuka to nie MHD, a twórcy nie ekspedientki, które mają szczery stosunek do klienta; więc każdy twórca powiada w kółko, że chce służyć masom. Czy kanikułowy lokaut nie jest tym detalem, który nieźle świadczy, jak to tam z tymi chuciami serwitutowymi jest naprawdę?

Najgorsze to, że tym panom „samigobiesłońce" nikt nie obetnie głowy, ani teraz, ani w następnym pokoleniu. Moda minęła. I głowy już gorsze.

BELFER

WINCENTY KOTERBS - I

Ma lat 25. Trudne warunki życia zmusiły ją po maturze do przyjęcia posady ekspedientki. Wkrótce potem zaręczyła się, zaczęła wspólnie z narzeczonym oszczędzać pieniądze na kupno mieszkania. — Praca i miłość były wówczas istotą mego życia — wyczuwam z jakim wysiłkiem opanowuje wzruszenie. — Dlaczego „wówczas"? Czyżby dziś utraciła Pani wiarę w swoje szczęście? Zakrywa dłońmi oczy: — Proszę o nic więcej nie pytać. Zaległa między nami chwila milczenia i już miałem zrezygnować z pytań, gdy usłyszałem: — Zresztą, mnie już wszystko jedno. Jestem ochłapem, zerem, chodzącym nieszczęściem. Może w tej opowieści znajdzie pan dla siebie temat:

Tego dnia z utargu miałam ok. 2 tysiące złotych. Właśnie przygotowywałam pieniądze dla banku, gdy wszedł on... Pamiętam, że miał na sobie wytarty płaszcz, był dość wysoki, wyglądał młodzikowato. — Co pan sobie życzy? — zapytałam. — Paczkę „sportów" i zapałeczki. Podeszłam do półki. Potem, co potem... Acha, kątem oka dostrzegłam błysk noża sprężynowego. Zdążyłam krzyknąć.

Nadeszły długie szpitalne noce i dni mocowania się ze śmiercią. Lekarze stwierdzili kilka ran kłutych w okolicy serca, uszkodzenie nerwu głównego i znaczny upływ krwi. Zrobiono wszystko, co się dało w takim wypadku zrobić: lekarze i pielęgniarki nie szczędzili wysiłku, instytucja moja przeznaczyła mi tysiąc złotych bezzwrotnej zapomogi, PZU wypłacił kilkaset złotych jednorazowego odszkodowania, później otrzymałam jeszcze kilkaset złotych zapomogi z wydziału zatrudnienia i spraw socjalnych Rady Narodowej. Fakt pozostaje faktem: pozostałam na całe życie ułomna. Nie wiem, czy z nabytą od tamtego czasu wadą serca i paraliżem postępowym układu nerwowego, długo pociągnę.

W takim stanie nie może być mowy o zamążpójściu, raczej o sanatorium...

Czy można jednak całe życie spędzić w sanatorium i czy ma ono wówczas jakikolwiek sens?

Nie czułem się w sile, aby przekonywająco odpowiedzieć na te pytania. Miałem już odejść, gdy rzuciła „na odchodne": MO ujęła sprawcę napadu. Sąd skazał go na 10 lat więzienia, dla mnie to jednak wątpliwa satysfakcja. Muszę żyć i leczyć się za 400 złotych renty miesięcznej. Przyzna Pan, że to nie jest łatwe.

Od tej rozmowy minęło kilka miesięcy; w notesie gromadził się i pęczniał materiał dotyczący kwestii delikatnej i — co tu dużo gadać — przemilczanej, miano-wicie opieki społecznej nad ofiarami przestępstwa. Podobnie jak mieszkańcy Żar k. Żagania doszedłem niebawem do wniosku, że opieka ta pozostawia wiele do życzenia. Mieszkańcy Żar do głębi wstrząśnięci napadem bandyckim na jednego z miejscowych taksówkarzy (w wyniku napadu taksówkarz zmarł osierocając wielodzietną rodzinę) samorzutnie zorganizowali składkę pieniężną i zebraną kwotę przekazali rodzinie zamordowanego. Można też i w tym wypadku wiele zrobić. Trudno bowiem się zgodzić z mniemaniem niektórych społeczników, jakoby renta, odszkodowanie PZU, zapomogi zakładu pracy i prezydiów rad narodowych — rozwiązywały kwestię opieki nad ofiarami czynów przestępczych. Są to zresztą zapomogi niezbyt wielkie i przeważnie jednorazowe. Z drugiej strony wśród ofiar mamy wielu ludzi niezdolnych do pracy, ułomnych i kalek, nierzadko obarczonych liczną rodziną, dla której byli dotychczas jedynymi żywicielami. Spotkałem tych nieszczęśliwców w różnych zakątkach kraju: w Warszawie, w woj. łódzkim, na Górnym Śląsku. Prosili o dyskrecję... nie chcieli rozgłosu, obawiali się zemsty ze strony rodziny lub bliskich skazanego bandyty. Byłbym w kolizji z własnym sumieniem i z interesem publicznym, gdybym odłożył pióro i milczał.

Komu się lepiej dzieje: PRZESTĘPCOM czy OFIAROM?

— Starszy pan, napadnięty nocą w Warszawie przez kilku pijanych opryszków stracił oko i doznał silnego wstrząsu mózgu. Leczy się w szpitalu. Małżeństwo zamordowane w Łowiczu przez młodocianego bandytę osierociło rodzinę, a kasjerka jednej z kopalń na Górnym Śląsku pozostała na całe życie kaleką wskutek napadu rabunkowego. Niektóre z ofiar popadły w trudne warunki materialne. Opowiadano mi, że pewien dozorca mienia społecznego utraciwszy prawą rękę w walce z bandytą nie mógł się zadowolić skromną rentą i sam przystąpił do złodziejskiej szajki.

Oczywiście nie należy robić z tego przypadku pesymistyczno-tragicznych uogólnień. Trzeba natomiast wnikliwie rozpatrzyć całą sprawę. Uważam, że występują w niej pewne anomalia. *„Dużo wody upłynąć musiało, zanim ludzkość doszła do wniosku, że czyn skierowany ku pogwałceniu praw jednostki robi krzywdę nie tylko danemu osobnikowi, lecz także i całemu społeczeństwu zmniejszając bezpieczeństwo publiczne, rozluźniając więzy społecznego życia, zniżając powagę ogólnospołecznych postanowień i zwyczajów"* — pisze dr Aleksander Mogilnicki w interesującym dziele pt. „Kary dodatkowe" w 1907 r. Pozwolę sobie zadać nie tylko retoryczne pytanie: ile jeszcze wody będzie musiało upłynąć, zanim z wniosku tego wynikną realne przedsięwzięcia i czyny? Przecież sam fakt ujęcia bandyty, oddanie go pod sąd chociażby w trybie doraźnym, skazanie na karę śmierci lub długoterminowe więzienie, może wpłynąć prewencyjnie i zastraszająco na potencjalnych zwolenników bandytyzmu, stanowi zatem akt moralnej sprawiedliwości i zadośćuczynienie jej wymogom, jednakże te wszystkie poczynania polityki kryminalnej nie są w stanie naprawić bezpośredniej krzywdy wyrządzonej przez bandytę ofierze przestępstwa. Nie usuną kalectwa, nie przywrócą zdolności do pracy, nie zapewnią osieroconej rodzinie dobrej egzystencji.

Sądownicy i kryminolodzy wtrącą tutaj swoje trzy grosze. Nie nasza sprawa, powiedzą, należy to do zadań opieki postpenitencjarnej. My jedynie przestrzegamy zasady: dura lex sed lex (twarde prawo lecz prawo). Czy to wystarcza? W przypadku 25-letniej ekspedientki bandyta otrzymał 10 lat więzienia. Pracuje w więziennym przedsiębiorstwie jako wyuczony ślusarz. Po potrąceniu na wikt i opierunek zarabia ca 300 złotych miesięcznie. Za pieniądze te kupuje w kantynie więziennej papierosy, cukierki, owoce. Ani złotówki nie wysyła swojej rodzinie, która go się wyrzekła. Poniektórzy więźniowie exbandyci odkładają co miesiąc kilkadziesiąt złotych do depozytu. Przez lata uzbierze się tego — powiadają. Na wolności forsa się przyda. W tym samym czasie ofiary ich czynów przestępczych borykają się z wieloma trudnościami, okupują szpitale i sanatoria, czasem wręcz stają na skraju nędzy.

Te dwa zestawienia mówią najlepiej o istniejących anomaliach. Do ich rzędu trzeba także zaliczyć zbyt sporadyczne w naszej praktyce sądowej przypadki orzekania o przepadku mienia skazanego bandyty na rzecz ofiary jego czynów przestępczych lub do wymierzenia dodatkowej grzywny pieniężnej zgodnie z przepisami kodeksu karnego. Grzywnę taką mógłby ewentualnie spłacać skazany w okresie swojej pracy w przedsiębiorstwie więziennym. Należałoby je przeznaczyć ofiarom przestępstwa. Podobne praktyki — z pomyślnymi wynikami — stosuje sądownictwo angielskie, włoskie, japońskie. Dla skazanego umniejszałoby to realną wartość miesięcznego zarobku i przypominałoby o dolegliwości dodatkowej kary, dla ofiary zaś grzywna byłaby oznaką nie tylko moralnej sprawiedliwości, ale i dążenia sądownictwa do wyrównania krzywdy materialnej.

Sądzę także, że należałoby pomyśleć o odprowadzeniu pewnych funduszów na cele opieki postpenitencjarnej z kasy zapomogowo-pożyczkowej więźniów, naturalnie w tych więzieniach i ośrodkach pracy, gdzie takie kasy istnieją. Pewne jest, że nie sposób poprzestać na rentach, zasiłkach i jednorazowych zapomogach. Dobrze się stanie, jeżeli opieką nad ofiarami przestępstwa zajmie się praktycznie Polski Komitet Pomocy Społecznej, który ma w swoim łonie sekcję opieki postpenitencjarnej. Terenowe komitety pomocy społecznej przy prezydiach rad narodowych wraz z takimi organizacjami jak PCK, ZMS czy Liga Kobiet mają tu piękne zadanie do spełnienia. Trzeba tylko chcieć.

Tymczasem, gdy zapytałem działaczy społecznych w kilku miejscowościach o pomoc dla ofiar przestępstwa ,zrobili na mnie „taaakie" oczy: — Owszem, osobom zwolnionym z więzienia dopomagamy, ale ofiarom przestępstwa... tego jeszcze się nie praktykuje. Naturalnie, gdyby się ktoś taki zgłosił, na pewno otrzymałby zasiłek, odzież lub paczkę żywnościową.

Rozgrzeszmy tych działaczy z naiwności, boć opieka nad ofiarami przestępstwa wciąż jeszcze uchodzi u nas za przysłowiową tabula rasa. Czas zatem, aby pomyślały o niej Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej, Ministerstwo Sprawiedliwości, PKPS i PCK i przystąpiły energicznie do zorganizowania proponowanego kilka lat temu stałego funduszu dla ofiar przestępstwa.

Działacze społeczni nie powinni czekać z założonymi rękami, aż człowiek, który padł ofiarą przestępstwa, zwróci się do nich o pomoc: niechaj wyjdą mu na spotkanie tak samo jak osobom zwolnionym z więzienia.

Ela Krzesińska *Fot. W. Rozmysłowicz*

WIESŁAW KACZMAREK

Przed OLIMPIADĄ

W czwartek 25 sierpnia na Foro Italico w Rzymie zapłonie święty ogień przeniesiony tam z gór Olimpu i tego dnia rozpoczną się XVII Igrzyska Olimpijskie, wielkie święto młodzieży 90 krajów, należących do Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego. Ale nim jeszcze to nastąpi, już dziś cały świat ogarnęła olimpijska gorączka. Wynikła ona nie tylko z sentymentalnych źródeł. Wszystkie tuby propagandy sportowej od szeregu tygodni ryczą nieprzerwanie o fantastycznych wynikach, które nawet laika wprowadzają w zdumienie. Era sputników zyskała swój odpowiednik również w sporcie. Rezultaty uznawane tradycyjnie za barierę ludzkich możliwości zostały we wszystkich niemal konkurencjach przekroczone. Rekordy sypią się jak z rękawa i to prawie każdego dnia. To stwarza odpowiedni nastrój, by rzymską Olimpiadę uznać za największe wydarzenie w nowoczesnej historii sportu.

Igrzyska w swej obecnej formie dadzą się porównać z ich greckim prawzorem z okresu, gdy Hellada osiągnęła szczyt rozkwitu, po którym mógł nastąpić już tylko kompletny upadek. Podobne niebezpieczeństwo grozi i nowoczesnej Olimpiadzie. Stała się ona okazją do wyczerpującego wyścigu organizacji państwowych, zawziecie rywalizujących o sukcesy sportowe. Rządy łożą olbrzymie sumy na przygotowanie sportowców. Nauka została oddana w służbę zawodnikom. Lekarze medycyny i psychologii opracowują metody treningowe, sami sportowcy poddani są tak surowej dyscyplinie życia, o jakiej nie śniło się w średniowieczu ascetom. Ośrodki szkoleniowe przerodziły się w nowoczesny model klasztorów z niezwykle ostrymi regułami. Wszystko w pogoni za zwycięstwem, medalem, rekordem.

Nieszczęśliwy baron Pierre de Coubertain, niestrudzony szermierz szlachetnych idei olimpijskich zapewne przewraca się ze zgrozy w grobie. Jego piękna koncepcja została gruntownie zrewolucjonizowana. Coubertain głosił, iż celem Olimpiady nie jest zwycięstwo, a jedynie udział w Igrzyskach. Chciałbym widzieć szefów sportu w jakimkolwiek kraju, którzy wysłaliby do Rzymu zawodnika skaczącego w dal 5 m lub biegającego 5 km w 15 min. Wysyła się wyłącznie kandydatów do medalu, lub co najmniej punktowanego miejsca (pierwsze sześć miejsc w każdej konkurencji).

Ale może tak właśnie powinno być? Może ta oszałamiająca pogoń za rekordami jest elementem zdrowego dopingu, bodźcem poruszającym ambicje młodzieży? Może właśnie w ten sposób wyzwala się tęsknota za wielkością i poszukiwanie nowych ideałów? Przyszłość to okaże. Na razie wszystkim się to szalenie podoba. O organizację Igrzysk toczą się regularne potyczki dyplomatyczne, a Japonia musiała oferować sportowcom prawdziwy raj, aby zyskać prawo do organizacji XVIII Igrzysk w 1964 r.

Jeżeli udało się coś uratować z pierwotnej treści Igrzysk, to ich charakter wielkiego święta i zyjaźni młodzieży świata. Na czas Olimpiady przerywali starożytni Grecy wojny, Igrzyska oznaczały zawsze zawieszenie broni. Dlatego Igrzyska symbolizują coś więcej, niż samo umiłowanie sportu. Wyrażają dążenie do pokoju.

Gwałtowny wzrost poziomu polskiego sportu podyktował kierownictwu PKOl konieczność wystąpienia na Igrzyskach w nienotowanej liczbie 200 reprezentantów. Te aspiracje są z pewnością usprawiedliwione w pewnej przynajmniej mierze. Ale skoro pragniemy pozostać wierni prawdziwemu duchowi Igrzysk, wysyłanie zawodników, którzy nie mają szans odegrania czołowej roli, jest w pełni uzasadnione.

Mr. Amery Brundage, amerykański milioner sprawujący funkcję przewodniczącego Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego korzysta z każdej okazji, aby występować przeciw zwyczajowi odgrywania hymnów narodowych i wciągania flag na maszt na cześć zwycięzców. Uważa, że wnosi to elementy nacjonalistyczne do tej pokojowej i na wskroś internacjonalistycznej imprezy. Jest to chyba przesada. Ze swej strony nie mielibyśmy nic przeciw temu, aby w Rzymie codziennie rozlegały się dźwięki Mazurka Dąbrowskiego a na głównym maszcie powiewała biało-czerwona flaga. Czy jest w ogóle możliwe, aby udało się to nam choćby tylko raz? Nawet Pytia dała by na to pytanie wymijającą odpowiedź. Sportowy dziennikarz musi jednak stawiać horoskopy. Taki jego los. Wierzę w Józefa Szmidta, aktualnego rekordzistę świata (117,93 daleko poza barierą dźwięku) w trójskoku. Wierzę w złoty medal Krzyszkowiaka na 10 km i srebrny w biegu z przeszkodami. Narażę się wszystkim ekspertom, ale wierzę również w medal Jerzego Chromika w tej samej konkurencji. Jestem spokojny o Sidłę, który drażni nas i maskuje wielką formę, aby zaskoczyć i opinię w kraju i swych rywali. Sidło lubi być bohaterem i starannie wystudiował tę rolę. Wierzę także w medal, przynajmniej srebrny, Edmunda Piątkowskiego, człowieka, który swój trening traktuje ze skrupulatnością naukowca. Niemka Clauss zabrała Krzesińskiej rekord świata. Ani ona ani Angielka Bignal nie zdołają jednak odebrać Polce złotego medalu w finale skoku w dal. Po lekkoatletach — w następnej kolejności ciężarowcy wzbogacą nasz skarbiec — Zieliński i Paliński. W boksie — Pietrzykowski. Czy to mało? A przecież nie było dotąd Igrzysk, na których nie trafiałyby się „fuksy na torze". Poza wymienionymi lekkoatletami mamy jeszcze 45 innych, którzy mogą odnieść sukces (Janiszewska w biegu na 200 m!). A przecież wysyłamy pełną reprezentację ciężarowców i pełną dziesiątkę bokserów (rewelacyjny Kasprzyk wyostrzył formę na złoty medal). Jest urocza krakowianka, mistrzyni Europy w wieloboju gimnastycznym — Natalia Kotówna. Jest 100 innych jeszcze świetnych, utalentowanych zawodniczek i zawodników. W jedno nie wierzę — w naszych kolarzy. Ale jak wiadomo, sportowcy lubią płatać złośliwe figle. Więc i jakieś dobre miejsce szosowców może się przydarzyć.

Zresztą, bez nerwów Campionissimo-Consolini poniesie znicz na ostatniej zmianie sztafety już w czwartek 25 sierpnia. A potem wszystko stanie się jasne.

Figurowa, Klimajtis, Sadko *Fot. W. Rozmysłowicz*

Henryk Szczepański *fot. Z. Rozmysłowicz*

Edmund Piątkowski *Fot. W. Rozmysłowicz*

JERZY DAGOBERT

PUŁKOWNIK NICKERSON contra GENERAL MOTORS

(Dokończenie z poprzedniego numeru)

IMPERIALIZM OBNAŻA SWE SŁABOŚCI

Zdawałoby się może, że ścisłe powiązanie interesów państwa i wielkiego kapitału, sojusz między rządem federalnym reprezentującym władzę i kredyty a rekinami przemysłu powinien w sumie dać siłę nieodpartą. A tymczasem osiem lat rządów Eisenhowera dowiodło tylko, że sojusz ten obnażył swą słabość — świadectwem tego są rezultaty prac w dziedzinie kosmicznej.

Riposta na radziecki sputnik zakończyła się 6 grudnia 1957 r. fiaskiem. Rakieta z amerykańskim satelitą wzbiła się na wysokość 25 m i runęła na ziemię, obracając w niwecz nadzieje, jakie rząd i marynarka pokładały w „Vanguard". Wprawdzie von Braun wprowadził na orbitę „Exploratora I", 31 stycznia 1958 przy pomocy „Jupitera", ale kredyty na realizację „Saturna", reklamowanego jako najpotężniejsza rakieta świata obcięto ze 135 na 70 milionów dolarów. Już w listopadzie 1955 odbyło się w Camp David posiedzenie specjalne gabinetu, na którym wiceminister lotnictwa Trevor Gardner alarmował bawiącego na wypoczynku prezydenta o opóźnieniu programu rakietowego. Ike zwrócił się wówczas z wyrzutem do Wilsona: „Charlie, mówiłem ci przecież cztery czy pięć miesięcy temu, żeby przyśpieszyć ten program; cóż ty, u diabła, robiłeś?" Wilson starał się uspokoić Eisenhowera zapewnieniem, że osiągnięto pewne rezultaty, ale prezydent domagał się, by co dwa tygodnie informowano go o postępach.

Kiedy Gardner żalił się ponownie, Wilson był zdziwiony: „Czego narzekacie — macie przecież priorytet numer 1! „Prawdopodobnie nie wiedział, że taki sam priorytet był przywilejem 84 innych projektów — w rzeczywistości więc żadnego priorytetu nie było.

Potem odszedł Wilson, zastąpiony przez Neil Mac Elroya i radykalnego postępu nie osiągnięto. Eisenhower, który zdał się w tej ściśle technicznej dziedzinie na swoich współpracowników, nadal nie orientował się w sytuacji. Rywalizacja między armią lądową, marynarką i lotnictwem przybrała na sile. Sam Eisenhower raz obcinał kredyty na „Saturna", to znowu dawał się przekonać o konieczności ich podniesienia.

Koncerny wydzierały sobie nadal kontrakty najbardziej lukratywne. Nad brzegiem Potomacu nadal panował chaos i brak decyzji. Fala maccarthyzmu odstręczyła jednych, wahania prezydenta skłoniły do dymisji innych. Biurokracja zabijała myśl twórczą; nowe projekty krążyły po kompetentnych biurach przez dwa lata, aż stawały się przestarzałe, a tymczasem Western Electric otrzymał bez trudu kontrakt na instalacje radarowe na sumę 2.400 milionów dolarów.

Wreszcie odszedł z Pentagonu MacElroy, a ośrodek w Huntsville przekazano administracji cywilnej NASA (Narodowa Agencja Aeronautyczna i Kosmiczna), argumentując tym, że rakieta typu „Saturne" nie ma bezpośredniej wartości wojskowej. Istotnie przyczyny klęski Stanów Zjednoczonych tkwią w samym ustroju. Kapitalizm jest niezdolny do rozwiązania problemów naukowych i technicznych, jakie stoją przed ludzkością, bez potężnych konfliktów. Gorycz gen. Madarisa ma więc swoje uzasadnienie i znamiennego charakteru nabiera dowcip von Brauna: „Kiedy Amerykanie wylądują na Księżycu, natkną się tam na celników sowieckich".

ŁODZIANIE 1960

NIE MA JESIENI

Według rocznika statystycznego (1959) Łódź liczy około siedemdziesięciu tysięcy ludzi powyżej 60 lat, w lipcu 1945 roku było ich 45 745, w 50 roku przeszło 53 tysiące, w 55 — 61 895, procentowo w roku 45 — 10,8 w 58 — 10,1. Ludzi w tym wieku, powyżej sześćdziesiątki, słusznie czy niesłusznie, przywykło się traktować jako ludzi starych, o starości nie pisze się zazwyczaj w pogodnych tonach, doświadczenia naszych antenatów nie zostawiły najlepszych świadectw, począwszy od słów zapisów Lindego o starości, to gorzkie prawdy życiowe, „starość stek chorób i przykrości", starość w grób zamyka", starość jest przykra, na wsi, według tradycyjnego ujęcia, to wygnanie do osobnej komórki, „wycug", „dożywotka", często torba i kij dziadowski, podobnie nie słodka jest jesień życia w mieście, mamy na myśli przede wszystkim robotników, w czasach, kiedy parki i pałace brały nazwy od panujących rodów fabrykanckich, Scheiblerów, Grohmanów, Geyerów, Poznańskich był to niekończący się różaniec czarnych dni, udręka, tu nie wystarczą zwyczajne opisy dziennikarza, dokumenty mówią najpełniej. „Obecnie nadzieja znikła, nic się w Łodzi nie buduje" — wyznaje jeden z autorów „Pamiętników bezrobotnych" wydanych w roku 1933, są mieszkania w Łodzi, składające się z jednego pomieszczenia, które zajmuje razem 16 osób, najliczniejsza rodzina w tej izbie, sześcioosobowa, miała do swej dyspozycji jedno łóżko, to nie był odosobniony wypadek, notują te rzeczy ówczesne urzędowe statystyki, wyliczają je nawet posłowie sanacyjni, muszą wyliczać, rachunek jest konieczny, jaka może być starość w podobnych warunkach?

Z siedemdziesięciu tysięcy dzisiejszych „emerytów" większa część, bo około 35 tysięcy utrzymuje się (łącznie z członkami rodzin) z zaopatrzenia, z funduszów publicznych. Nie rozbijam szczegółowo tej rubryki; emerytury, renty i tym podobne świadczenia czy usługi wobec ludzi, którzy powinni zasłużenie odpoczywać, nie są wysokie, nie zawsze są wystarczające, nieraz trzeba dorabiać, nieraz trzeba korzystać z pomocy rodziny, ale w tym rachunku nie ma miejsca na zapis, że „nadzieja znikła". Nie trzeba się odwoływać do rzeczywistego rozwoju miasta, że Łódź się rozbudowuje, że wyrastają nowe dzielnice, że robotnicy przenoszą się stopniowo do nowych mieszkań i polepszają warunki życia, jeszcze można wiele biedy naliczyć, ale nadzieja nie znika.

Scen, które oglądamy w parku „Źródliska", nie można uogólniać, ludzie starsi, emeryci, renciści poobsiadali kamienne stoliki, grają w warcaby, opanowali park, nie wolno tutaj krzyczeć, nie wolno bałaganić, starszy pan wstaje i wkrótce przywraca spokój, park ma swoich gospodarzy. Najstarszy park w Łodzi, założony w roku 1840, znany pod nazwa „Kweli", ma za sobą ciekawe dzieje, rozgrywały się w nim rozmaite sceny, zabawy ludowe, rej wiodło kiedyś Bractwo Strzeleckie, park nawiedzali robotnicy, za plecami rozciągało się królestwo Grohmana i Scheiblera. Dziś w parku postawiono kamienne szachownice, spędzają nad nimi czas emeryci.

Powiedziałem, tych scen w parku „Źródliska" nie można uogólniać, ale nadają one charakterystyczną barwę miastu i czasom, w których żyjemy i które nadchodzą, nie ma w nich miejsca na gorzką jesień.

Tekst: TADEUSZ PAPIER
Zdjęcia: WACŁAW BILIŃSKI

KONRAD FREJDLICH

TEN DRUGI ŚWIAT (2)

(Dalszy ciąg ze str. 1)

żyją po kilka lat, dla nich Iława to jest kółeczko na mapie, w szkole na ścianie wisi duża, plastyczna mapa. Nawet jak wyjdą, to co zobaczą? Tych parę budynków po drodze na stację? Byle letnik, co tu przyjeżdża zrzucić parę kilo z brzucha i po sezonie wraca do siebie, wie tysiąc razy więcej. Jak się siedzi parę lat zamkniętym, to przecież nikt nie będzie specjalnie zwiedzał małego miasteczka, każdy tylko do pociągu. Ale wychodzą przecież na miasto codziennie, wychodzą w marzeniach, a z nimi najładniejsze panny, które zdążyli przygadać na deptaku. Jeśli chodzi o to, mogą codziennie drwić ze strażników, któż upilnuje złudzenia?

W rzeczywistości odbywają karę w dwóch więzieniach, przychodzi moment, to prawdziwe, z murem i funkcjonariuszami, otwiera bramę, naczelnik albo tata, to jedno i to samo, uściśnie rękę, idź człowieku i człowieku więcej nie wracaj. I wtedy ta wolność, co na nią czekali, wydaje im się jakaś oklapnięta, jakaś nie taka, wtedy żałują. Bo z drugiego więzienia wyjścia nie ma i nie ma taty, co da bilet na drogę. I wtedy widzą, że mity, którymi się karmili tyle lat, są oszukańcze. Wtedy to, chce im się rzucić na ziemię i robić orła, a to znaczy śmiech, w którym ręce i nogi drygają jak u pajaca.

Przede wszystkim te mity, mit bohaterstwa, choć czasem najzwyklejsza głupota. Więc tatuaże. Kłują się, kiedy mogą, choć to zabronione, kłują przeważnie w „śledczaku" i na wolności, tutaj do karnego przychodzą już znaczeni. Twarze kobiet na brzuchach, majstersztyki tatuażu płaczące i śmiejące się, zależnie od skurczu mięśni i ruchów przepony. Więc te podkówki, na szczęście, które nie przychodzi, albo tygrysy, lwy, znaki zodiaku Ale i cztery litery na czole wżarte w skórę na zawsze i „Ku Klux Klan". Chcą się wyróżnić, chcą żeby każdy zwracał uwagę na ich tatuaż i pozostają ślepi. Bo ci niepokłuci są rzadsi i ci się w oczy rzucają od razu. Ci zwracają uwagę.

Więc pokłuci żałują inaczej niż my, wtedy żałują, gdy się łudzą. Wiem to, bo teraz ich znałem i nie było tego dystansu. Oni mi mówili: — Ano tak, czy to chłop, co nie siedział w kozie? To nie jest chłop jak wojska albo więzienia nie zaznał. — Potem pokazywali landszafty na całym ciele, te obrazki sielskie, jak tanie makatki kupione na ciuchach, pokazywali szmirę najgorszego rodzaju, której się nie da zniszczyć. — A to jest ślad — mówili — z tym do ludzi można pójść, pokazać i ludzie uwierzą. I kobiety uwierzą. Kobiety wierzą pamiątkom. — Wtedy ja mówię, a liczby znałem — Jest was tylko 65 tys.[2]), a mówicie chłopy. Jak sprawdzić, że wy chłopy rzeczywiście, bo cyganić to wy umiecie. — A wtedy milkli, bo wiedzieli, że sprawdzić się nie da.

Któregoś dnia wychodzę rano przed „administrację", a była oddzielona od reszty więzienia specjalną bramą, i dwóch bramowych było, jeden wpuszczał przed administrację, drugi na teren, gdzie pawilony. Przed wartownią, to się zawsze zbierali funkcjonariusze i jak nie było co do roboty, opowiadali sobie różne rzeczy. Teraz tak samo krzesełka były wystawione i siedzieli funkcjonariusze. I więźniarka stała, zielona, zrobiona z „Lublina", a zaraz obok niej sanitarka, markę miała niemiecką i nawet nosyć podobne do siebie były, farba taka sama tylko sanitarka to miała bardziej okrągłą maskę. I zaraz wiedziałem, że był „połyk", co to jest połyk, wiedziałem od jednej doktor z C.Z.W., ale to wie każdy szczur w więzieniu.

Połyki[3]) były plagą więzień, dopóki psychopatów nie zgromadzono razem i teraz jest dobrze, teraz nawet psychopaci rzadko te połyki robią. Ich to nawet można zrozumieć, bo dzięki temu uwalniają się od nadmiaru zbędnej energii, którą w więzieniu, jak się siedzi, wyładować jest trudno. A oni się wyładować muszą, u nich to taka fizjologiczna potrzeba, jak siedzieć na kiblu. Ale w więzieniach normalnych, w więzieniach dla młodocianych typu Iławy, te połyki wynikają ze szczeniackiego bohaterstwa, więźniowie, co są świadomi, jak chcą dostać lepsze żarcie, to idą do pracy. Szczeniaki znowuż, co siedzą pierwszy raz, ale się na recydywę napatrzyli w śledczaku, mówią: — Robota to dla chamów jest, a ja jak się będę chciał najeść lepiej, masło, owoce, bułki, mleko, to się albo porżnę albo zrobię połyk. Tak czy inaczej pójdę na wikt szpitalny.

Łykają oni połamane rączki od wiader, łyżki, ale to tylko początkujący. — Takie coś zadowolić nie może, bo tylko przez człowieka przeleci i jak rycyna przeczyści — powiedział mi jeden, a był z niego chłop dwa razy ode mnie silniejszy i głos miał ładny, myślałem, że w chórze śpiewa. Ci doświadczeńsi łykają kotwiczki z drutu

Jednego dnia przyszedłem do naczelnika. Akurat się dwóch więźniów zameldowało, to byli chłopcy ze wsi, bo się napatrzyć na dywan nie mogli i że tata za takim dużym biurkiem siedzi. Naczelnik tylko do nich: — Na trzy kroki stańcie, jak regulamin mówi. — Cofnęli się, naczelnik do mnie: — Niech pan teraz pójdzie na karny oddział, tam można zobaczyć ciekawe rzeczy. — Potem jak graliśmy w brydża, naczelnik mi wyjaśnił. Trzeba w stosunku do nich być ludzkim, ale zawsze stanowczym. Zawsze trzeba pokazywać swoją przewagę.

Karny oddział stoi jakoś w samym środku, niedaleko kuchni. Żeby nie strażnik przy furtce, nikt by się nie domyślił, że tu jest coś ciekawego. Strażników nie ma nawet przed pawilonami. Oddziałowy, człowiek poczciwy, palił „Żeglarze", pokazał mi ciemną celę. — Oni toto nazywają kabaryną — powiedział i zaraz krzyknął do jednego, który miał spacer, a gapił się na nas cały czas: — Albo będziesz chodził, albo cię do celi zamknę. — W ciemnej celi więzień przebywa najdłużej 48 godz., a i to stosuje się wyjątkowo. Karze się również pojedynkami i twardym łożem. W pojedynce na wprost korytarza siedział więzień imieniem Gerard, siedział już drugi miesiąc, dał „byka" oddziałowemu.

Funkcjonariusz otworzył drzwi do celi, tamten nawet głowy nie odwrócił. Funkcjonariusz mówi: — Podnieście się. — Podniósł się, obrzucił nas wzrokiem obu, gazetę wziął z pryczy, to był „Sztandar Młodych" z niedzieli, udaje, że czyta. Mówię oddziałowemu, niech nas zostawi samych. Drzwi zamknął.

— Powiedzcie mi — mówię — za co was tutaj zamkli? — Skróciłem specjalnie „zamknęli", bo oni tu wszyscy skracają. Gazetę odłożył.

— Zamkli mnie tutaj — mówi — bom ze szkoły uciekał.

— No to co — mówię ja mu — szkoła wam się nie podoba, szkoła od więzienia gorsza? — zgrywam ton obojętny i patrzę na niego.

— Przez to, że słońce było — mówi — bośmy z kumplem wyszli na dach się opalać. Oddziałowy szedł, za komin żem się schował, a kumpla zobaczył. Ale go nie poznał, szedł na górę zobaczyć, to my żeśmy skoczyli na dół, tam są kwiatki nasadzone, miękko było. Potem oddziałowy po klasach chodził, kazał sobie podeszwy pokazywać i poznał po smole, co mi się do butów przylgła.

— Wy — mówię — prostego strażnika możecie bujać, ja tu po co innego przyszedłem. — Wtedy się ucieszył,

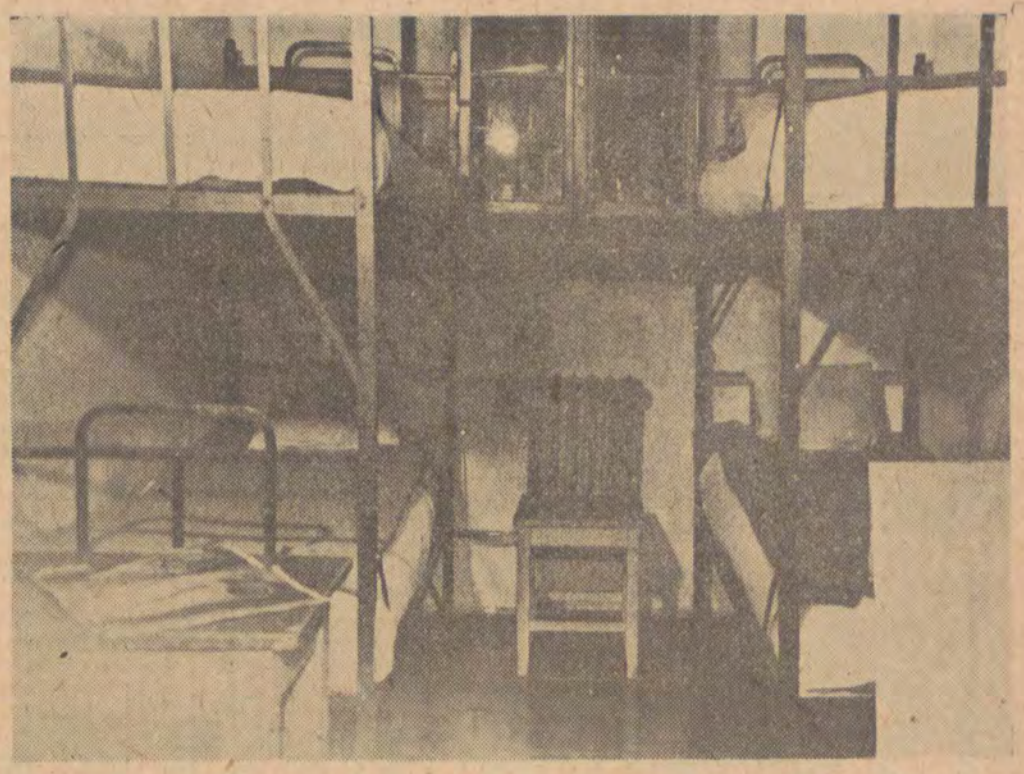

— Ja — powiada — od razu wiedziałem, że pan jest prorok. Pan od tego oddziałowego przyszedł, ale ja się nie boję.

— Do recydywy was ciągnie — mówię i dalej się robię na prokuratora, bo prorok to jest tutaj prokurator. On się tylko uśmiecha, do tych, z którymi się muszą liczyć, są zawsze przymilni. I byśmy tak sobie dalej gadali, jeden by drugiego przechodził, ale mu powiedziałem: — Dziennikarzem jestem, co ja o was napiszę, powiedzcie, co ja o was mogę napisać? — Wtedy się zaczął na bohatera robić. — Ja — mówi — robię rachunek, co się opłaca, a co nie. Żyło się. Wtedy, jak nie mogłem dać długiej i też przez kumpla wpadłem, to zrobiłem jubilera. I samochód zrobiłem. Ale się żyło. Kumpel mój, to świnia był, wyszedł i nawet się nie odezwie. Ano dobrze, ja wyjdę też, to sobie porozmawiamy. Do matki — mówi — to nie napiszę, bo staruszki niepokoić nie chcę. Jak wrócę, to własnym samochodem. Wiem, że tylko na siebie liczyć mogę, ale się nie boję. Bo ja — on mówi — ja jestem silny.

A kiedyśmy już wypalili po papierosie, wstałem i mówię: — Pretensji do mnie nie miejcie, ale nic o was napisać nie będę mógł, bo wy jesteście słabi.

Czerwony się zrobił.

— Pan tak mówi, bo pan jest dziennikarz, to pan musi.

Potem jak wychodziłem, żal mi się go zrobiło, bo dla niego taki zarzut gorszy jest, niż rok „pojedynki". Gdyby tych samych ludzi oprawić w inną skórę, albo dać im oczy, którymi mogą widzieć naprawdę, to byliby inni, byliby lepsi. Są niewolnikami mitów i kiedy mit z nich spada, wychodzą wszystkie braki. Więzienie jest ciągłym ograniczeniem: wolności, miłości, ograniczeniem prawa do własnej osobowości. W więzieniu brak najmniejszy widać i bez mitów, więc oni się bronią, stąd poza bohaterstwa, stąd ciągły patos. Przeglądałem śpiewnik jednego z nich. Zaczynał się od: „Myśmy przyszłością narodu, łamarami przystrójmy głowy". — Proszę pana — mówił wychowawca w bloku szkolnym — oni o szczoteczkę do zębów piszą do naczelnika, że chcą się przez to stać pełnowartościowymi obywatelami Polski Ludowej.

Ten patos nie opuszcza ich i po wyjściu, czasem piszą do naczelnika, chcą się pochwalić albo poradzić. Czytałem taki list, ortograficznie to on się przedstawiał nie najlepiej, ale litery stały kaligrafowane, jakby ryte w kamieniu.

Te listy pisane przy pomocy całej rodziny, przypominają kombatanckie pozdrowienia dla kolegów z pola walki. Tyle w nich patosu i tyle braterstwa. Wbrew temu, co powiedziałem dotychczas o poczuciu osamotnienia, więzienie jest instytucją, która wyczula poczucie zbiorowej odpowiedzialności, wytwarza kolektyw. Pewien świadomy więzień, który ukończył dziewięć klas, a wiedział po co tu jestem, powiedział: — Pan stąd wywiezie socrealistyczny reportaż.

Bo zderzenie następuje od samego początku, ci najbardziej aspołeczni i egoistyczni, którzy dotąd żyli tylko z innych, tracą w więzieniu swoją twarz od samego początku. Starzy mieszkańcy celi biją ich, każdy po kolei, tak, żeby nie skrzywdzić, ale ślad, to żeby został. Tym symbolicznym biciem chcą uprzedzić, że sobą, to mogliście być wśród frajerów, a tutaj każdy cwaniak jest i tutaj musi być demokracja. Ci nowi na rannym apelu stoją z podbitymi gałami, ale się nie skarżą, a jak ich spytać, co się stało, to: — Z łóżka spadłem, wysoko jest, na pierwszy raz się nie mogłem przyzwyczaić do spania, rzucałem się, to i spadłem. — Wychowawcy przeprowadzą dochodzenie na własną rękę i też się nic nie dowiedzą.

Kolektywy są dwa, zewnętrzny, na pokaz, dla naczelnika, dla inspekcji z CZWI jest drugi, własny, „pod cela", „na celi", ten jest mocny, szczelny, choć nie zawsze panuje tam demokracja. Ten rozbić jest trudno, choć są próby. Wszystkie dobra są wspólne, z paczek i wypiski, to się nazywa herbatnikowaniem i nie zdarzy się, żeby więzień, co korzystał od kolegi, nie odwzajemnił się tym samym. Jak się któryś chce rżnąć, a kolektyw uważa, że jest podstawa, to będą milczeć, dopóki sobie nie upuści tyle krwi, że dalszy upust grozi śmiercią. A potem walą w drzwi i wołają na pomoc oddziałowego. Kiedy któryś wychodzi, dają mu na drogę życiowe rady, jak sobie ma życie ułożyć, każą do siebie pisać i ustawiają się przy drzwiach. Potem go każdy kopie, szpicem, nie patrzą, żeby nie urazić, kopią na serio. A tamten przyjmuje to jako łaskę, to znaczy, że ma do więzienia więcej nie wracać.

Ale stosunki kapitalistyczne zakradły się i do tej wspólnoty, ci zamożni, co mają pomoc z domu, wymiguja się od roboty. Płacą. W celi każdy ma co jakiś czas dyżur, a wtedy sprząta, ściera kurze, zimą pali w piecu. Ale za „dziekanę" to znaczy dziesięć papierosów, a ten pieniądz jest pewny i nigdy nie grozi inflacją, można nie robić nic, można nie sprzątać i mieć odrobione lekcje. Za „dziekana", „dziekaną" można wszystko. Wychowawcy z tym walczą, ale wychowawcy wszystkiego widzieć nie mogą. Oni się mogą tylko domyślać, jak któryś z więźniów prosi o przeniesienie do pojedynki, posiedzi tam dwa tygodnie, a wtedy prosi o powrót do starej celi. Stare urki wracają i dzielą się z żółtodziobami. Herbatnikują i cierpią.

---

[1]) Autor dostał się do więzienia trochę podstępnie z grupą studentów i naukowców zrzeszonych w Grupie Penitencjarnej. Grupa taka istnieje przy Uniwersytecie Warszawskim, a obecnie w innych ośrodkach akademickich powstała podobne min. w Łodzi przy Kole Młodego Prawnika. Potem okazało się, że podstęp jest niepotrzebny, spotkałem się z bardzo przychylnym przyjęciem pracowników Centralnego Zarządu Więziennictwa.

[2]) Wg. danych Min. Sprawiedliwości (Rocznik Statystyczny 1959) przebywa w więzieniach ponad 70 tys. skazanych, mężczyzn ponad 65 tys., kobiet ok. 5 tys. Młodocianych, to znaczy w wieku od 17 — 21 lat, jest ponad 9 tys., w tym ok. 500 recydywistów.

[3]) Chodzi o intensywność połyków. Grupa stałych połykaczy jest bowiem nieliczna, w skali kraju nie przekracza 100 osób, rekrutuje się z psychopatów i recydywistów.

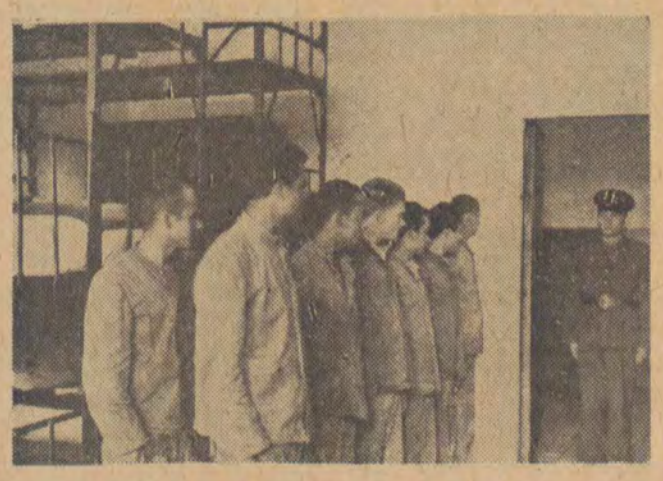

Przegląd sal mieszkalnych

Świetlica oddziałowa

Spiker miejscowego radiowęzła

BERNARD SZTAJNERT

Z tomu prozy Bernarda Sztajnerta „Tajemnica Maxa Hellera", który ukaże się w najbliższym czasie nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

KONCERT

Zebranie kierowników przebiegało burzliwie. Dyrektor uderzał pulchną dłonią w biurko: „Jestem cholerykiem!" — krzyczał. — „Doprowadziliście mnie do wściekłości. Powinniście się z tym liczyć, że jestem cholerykiem. Czy mam was uczyć wszystkiego — poczynając od korespondencji poprzez tabliczkę mnożenia i dodawania do dobrego wychowania włącznie? Wszystko co dysponuję musi być wykonane, a potem możemy iść nawet na wódkę".

Kierownicy pochylali głowy z aprobatą — zupełnie jakby dyrektor beształ kogoś innego, a nie ich właśnie. Zakładali nogę na nogę, palili papierosy, przeciągali dyskretnie ramiona tłumiąc ziewanie.

Wydaje mi się, że ja pierwszy usłyszałem muzykę. Ktoś grał na skrzypcach chodząc po biurze. Muzyka narastała. Skrzypek stanął w sąsiednim pokoju. Na chwilę muzyka umilkła i ktoś trzy razy zastukał do drzwi.

„Nie wchodzić! Narada" krzyknął Dyrektor. Gdy skrzypce zagrały znowu polecił mi wyjrzeć i zbadać co to za koncert?

Otworzyłem drzwi do sekretariatu. Zauważyłem, że jest już późny wieczór, było ciemno — przez okno zobaczyłem latarnie uliczne i usłyszałem szum ulicy. Właśnie wtedy ujrzałem w rogu pokoju śmierć, w postaci kościotrupa w czarnej pelerynie. Stała — trzymając w piszczelach skrzypce. Wycofałem się na palcach z sekretariatu i zamknąłem drzwi. „No i co, kto tam gra? — zapytał dyrektor. — „Panie dyrektorze pracuję u pana już sześć lat, czy ma pan do mnie trochę zaufania"? — „Ja mam do was wszystkich zaufanie" mruczał dyrektor, „tylko po co mnie denerwujecie. Przecież wiecie, że jestem cholerykiem...".

„W takim razie panie dyrektorze nie ustalajmy źródła, że tak powiem, tej muzyki. Niech sobie skrzypce grają za drzwiami, a my tu prowadźmy naradę". Posłuchał mnie. Radziliśmy przy dźwiękach skrzypiec do późnej nocy, aż zamilkła muzyka i szmer naszych głosów.

Hamlet

Rudy chłopiec długo i daremnie szarpał spoconą ręką za sznurek. Inspicjent odepchnął chłopca i szarpnął tylko jeden raz, podnosząc niebieskie oczy i otwierając usta. Dyrektor podszedł, bez pośpiechu, jego twarda twarz wyrażała nadludzki spokój. Pociągnął sznurek kilkanaście razy — lekko, pewnie, daremnie.

Aktorzy, dla których padły już pierwsze oklaski — Hamlet właśnie powstał i kłaniał się przyciskając rękę do serca — zatrzymani oczami widowni wyprostowali się i ruszyli przed siebie na proscenium. Kurtyna nie opadała. Nieoddzieleni od publiczności grali dalej mimo, że sztuka była już skończona. Duch oparł ramiona na barkach króla mówiąc: „To przyjemnie zachować ciało z pulsującą krwią. Wiem już, że nikt nie jest winien. Odwołam nakaz zemsty i będziesz panował nieskończenie długo. A ja stanę za tronem oparty o twoje ramię — z szyszakiem mgły trącając twoją koronę". Poloniusz skłonił się publiczności i podnosząc palec oświadczył: „Nasze sny pożerają rzeczywistość. Im więcej śnimy, tym mniej żyjemy. Czym bowiem jest sen jak nie przerwą w życiu, czym jest życie jak nie przerwą w śnie?"

Hamlet stał na schodach podtrzymywany przez matkę i Horacego. Matka mówiła przyciskając wolną rękę do falującej piersi: „Połóż się już, synu mój Hamlecie. Śmierć twoja tego wieczoru zbyt podobna była prawdziwej, byś nie miał się czuć znużonym". Horacy mówił nachylony do ucha Hamleta: „Bądź czujny, nie zasypiaj mości książę. Słyszałem za oknami trąby prawdziwych wojsk".

Ofelia przyklękła, uciskając kolana krawędzią stopnia. „Hamlecie!" zawołała „Hamlecie" chcę wyjść z klasztoru, pragnę wyskoczyć z wody do powietrza i tak żyć, byś zadał mi prawdziwy ból. Wyplazuj mnie swoją szpadą, kopnij mnie Hamlecie!"

Ich role nie mają końca. Wchodzą między publiczność. Zaglądają w oczy widzom, odpowiadają na pytania przygodnych mędrków. Poszczególni widzowie usiłują im przypomnieć fragmenty oryginału — skierować przedstawienie w dawne łożysko: „Być albo nie być!" — woła czerwony grubas przyciskając do piersi okulary. „Zbudź się królewiczu duński!" — skrzeczy zgarbiona staruszka w sukni w kropki. Lecz oni nawet tego nie słyszą. Pochwycili młodzieńca w czarnej koszuli i dziewczynę w workowatej sukni. Obrócili ich twarzami do siebie i każą powtarzać: „Ja nie jestem metalem pociągającym" — „Wiem o tym i dlatego przy tobie nie siadam".

Stary Poloniusz odwraca głowę w stronę kulis i krzyczy: Mości książę, aktorowie nie mogą odjechać!" Wtedy goniec, inspicjent i dyrektor raz jeszcze, bezskutecznie pociągają za sznurek kurtyny.

Klaudiusz bezdomny

Klaudiusz jest bezdomnym poetą. Miał kiedyś mieszkanie, w którym układał wiersze — wielki, ciemny pokój, a w nim ciężki stół nakryty granatowym obrusem. Na ścianach reprodukcje Rembrandta i gliniana głowa konia, na oknach książki i doniczki z fikusami. Wielki kaflowy piec z niklowanymi drzwiczkami. Zimą Klaudiusz gasił światło i siadał przy piecu patrząc zmrużonymi oczami w czerwień rozżarzonych węgli. Myślał wtedy o piekle. Klaudiusz wierzył w rogatego diabła, który przeciskał się przez wypełnione sadzą kanały. Diabeł gwizdał z głębi pieca, stukał w kafle, potrząsał drzwiczkami.

Spotykam Klaudiusza na ulicy, idzie potrącając ludzi — nie widzi nikogo, a jego wargi poruszają się szepcąc słowa nowych wierszy, których nikt nie zapisze i nie zapamięta. Dawno już utracił mieszkanie. Fikusy zwiędły, doniczki popękały. Ciężki stół rozsypał się pod naciskiem wątłych łokci Klaudiusza.

Popękały ściany i kafle pieca, diabła nigdy nie było, a jeżeli nawet był, nie interesował się duszą Klaudiusza. I oto Klaudiusz utraciwszy mieszkanie, chodzi po ulicy, udręczony niezapisanymi wierszami. Kiedy ogarnia go zmęczenie i senność idzie do parku i tam zasypia na ławce z twarzą wtuloną w kolana.

Cudze podwórko

Nigdy nie mieszkałem w tym domu, nie byłem nawet na klatce schodowej. Wchodząc w bramę (brama ma tynkowaną powierzchnię), oglądałem przez kwadratowe szybki w drzwiach schody i patrzyłem przez cudze okno, na kwadratowy fragment nieba. Niebo widziane z tego miejsca było głębokie, wiodło wzrok ponad obłokami do przezroczystej nieskończoności. W dole widziałem schody spadające do otwartych drzwi, z których bił strumień ostrego światła.

Brama była podzielona na dwie części kamiennym skrzydłem, do którego lgnęły schody. Posuwając się wzdłuż skrzydła wychodziłem na podwórko. Miałem teraz dom za plecami. Po lewej ręce niską oficynę z żółtymi wrotami zamkniętymi metalową sztabą. Po prawej mały, długi budynek ciągnący się do kondygnacji gęstych, dalekich drzew. Gdy spuszczałem oczy, widziałem inne, bliskie drzewa — były to chyba japońskie drzewa na niedużym klombie.

Nigdy nie mieszkałem w tym domu. To utracone, nie moje podwórko przypominało mi zawrót głowy doznany 20 lat temu, gdy zgubiłem w piwnicy metalowy gwizdek — matka wołała mnie na obiad — moje łzy spływały do rabarbarowego kompotu. Tylko tutaj, na tym obcym podwórku potrafię przypomnieć sobie mój pierwszy, trzykołowy rower i konia na biegunach i gruźlika Zygmunta huśtającego się na trzepaku.

Z bramy wychodzi piegowaty chłopak: „Proszę pana, kogo pan tu szuka?"

WŁODZIMIERZ KRYSIŃSKI

„Będzie wymowy szkołą doświadczenie"...

Oto jest wyznanie, credo poety Jarosława Marka Rymkiewicza. Właśnie w wierszu „Opisanie nocy miłosnej" manifestuje się najpełniej postawa przeszłego autora „Konwencji", dzisiaj już autora drugiego tomu poezji „Człowiek z głową jastrzębia".

Nowy tomik jest poetycka realizacja wielowarstwową, realizacją prowokującą do różnorakich rozważań. Chcieć doprowadzić je do końca, zamknąć jedną tezą i jednym wnioskiem, to znaczy zanegować dynamikę rozwoju tego utalentowanego poety. Rymkiewicz jest w drodze.

Doświadczenie ma być szkołą wymowy. We wspomnianym wierszu doświadczenie miłosne, doświadczenie jednej nocy. Tradycyjna i odwieczna więc materia liryki staje się tutaj przedmiotem poetyckiej wiwisekcji. Pomińmy charakterystyczny aspekt psychologicznego przewartościowania podmiotu lirycznego, który dokonał się już wcześniej przed Rymkiewiczem, który dokonał się wraz z całą masą przemian w ludzkiej osobowości, innej dzisiaj przecież niż za czasów Heinego, przecież dzisiaj rozbitej przez choroby, pokusy i wszelkie inne malum necessarium naszego stulecia. Być świadomym człowiekiem swojej epoki to nie znaczy jednak być świadomym poetą. Powiedzmy od razu, że świadomych poetów jeszcze nie wielu. Być świadomym poetą jedynie w kwestiach formalnych rozwiązań to także niewiele. Stwarzać jednak nowe postawy poetyckie w kostiumie klasycznym, nicując ten kostium, aby czynił zadość wymogom treści i nowych konwencji, to już jest coś.

Rymkiewicz postuluje i realizuje nowy klasycyzm, ale klasycyzm w rozumieniu Eliota, który definiował go jako maksymalną dojrzałość w sprawach problematyki, formy i tradycji.

Rymkiewicz we wspomnianym wierszu opisuje tedy noc miłosną tercyną swojego jedenastozgłoskowca. Zajmuje też postawę człowieka współczesnego, który będąc aktorem aktu miłosnego zachowuje dystans do samego zjawiska. Sprawa oceny, postawy wobec zagadnienia, jest tutaj nierozłącznie związana z formą wiersza. Determinuje go więc przede wszystkim pragnienie pełni, doskonałości. W tym rozumieniu, właśnie jako doskonałe zespolenie elementów, jest to wiersz świetny. Świadoma postawa wobec tradycji wyraża się tu przede wszystkim w celowej, ale nie absolutnej rezygnacji z rekwizytów tradycyjnych (np. zerwanie z inwokacjami do mitologicznych bóstw: poeta mówi zaledwie: „klasycznych bogów prosiłem o łaskę"). Rymkiewicz w tym wierszu idzie tropem tak świetnych poetów jak Ezra Pound (niesposób przecież nie myśleć o „Hołdzie Sextusowi Propertiusowi, który był swobodną transpozycją utworu samego Propertiusa. Świetny to przykład na ciągłość tradycji poetyckiej), czy Teodor Roethke, autor znakomitego wiersza „Partner". W „Opisaniu nocy miłosnej" wyczuwa się wewnętrzny dramatyzm konstrukcji, o którym stanowi ciągle tu obecna opozycja: emocja-refleksja. Ścieranie się tych dwóch elementów stanowi także niejako formalny wykładnik ambiwalencji opisywanego zjawiska, ambiwalencji wynikającej z kompleksów i urazów człowieka współczesnego.

Zatrzymaliśmy się na opisie tego wiersza, a przecież, będąc wierszem świetnym nie stanowi on bynajmniej jedynej „perły" nowego tomiku Rymkiewicza. Są w „Człowieku z głową jastrzębia" wiersze napisane z absolutną dojrzałością i pełnią poetyckiego wyrazu jak np. „Sierpień", „Bogowie", „Odys" czy „Komentarz do bajki".

Wiersz „Zima", świadome nawiązanie do „Zimy miejskiej" Mickiewicza to także świetny przykład na wykorzystywanie przeszłych osiągnięć i rozumnego posługiwania się „starą formą" na usługach nowej treści. Karnawał stanowi oś tematyczną obu wierszy. Zależności Rymkiewicza uchwytne są w podobnym miejscami typie obrazowania, lecz przede wszystkim w układzie konstrukcyjnym wiersza, który od powolnej formy narracji opisowej przechodzi ku próbom swoistego fabularyzowania, próbom stworzenia anegdoty Jest to niewątpliwy i świadomy chwyt poetycko-retoryczny.

Cytuję dwie strofy, które pozwolą nam bliżej zrozumieć to zjawisko. Proszę zwrócić uwagę na treściowe modyfikacje we fragmencie Rymkiewicza. Najpierw jednak Mickiewicz:

Ten, w lśniący kryształ
włożywszy oblicze
Wschodnim balsamem złoty
kędzior pieści

MARIAN PIECHAL

SZTUKA I NATURA

Przedmiotem sztuki jest natura. Natura wszechrzeczy, wszechistnień, a przede wszystkim człowieka. Ale naturę podobnie jak sztukę rozmaicie można pojmować. Należy więc określić, co rozumiemy pod wyrazem sztuka, a co pod wyrazem natura. Jeżeli naturę nazwiemy duszą przyrody, to sztukę nazwiemy świadomością tej duszy. Zadaniem sztuki jest uświadamianie czyli odkrywanie praw natury, które są niezmienne, aby na ich podstawie zmieniać i przekształcać plastyczne ciało natury czyli przyrodę.

Pierwszą więc zasadą sztuki jest odkrywczość, walor poznawczy, drugą kreatywność, siła stwórcza, oczywiście na terenie materii czyli formy, ponieważ ex nihilo nihil. Z niczego tworzyć może tylko Bóg, jeśli założymy istnienie pierwszej przyczyny wszechrzeczy — artysta jednak nie jest Bogiem i może tylko przetwarzać to, co już zostało stworzone. Jego twórczość, to właściwie tylko przekształcanie w wyobraźni tego, co jest w rzeczywistości, a więc dopełnianie i dopowiadanie idealne tego, co jest realne. I w tym tylko sensie artysta jest twórcą. Sztuka to permanentna propozycja ładu wyobraźni wobec chaosu rzeczywistości. Ta funkcja sztuki spokrewnia ją z nauką. Cele są te same, odmienne są tylko środki, za pomocą których odbywa się eksploracja i eksploatacja natury.

Na temat sztuki i natury napisano niezliczoną ilość dzieł i choć dopracowywano się do wniosku, że sztuka to zaprzeczenie natury, to jednak nigdy nie potrafiono przeciąć zupełnie związków między sztuką a naturą. Oczywiście zdarzały się twierdzenia, że sztuka to właśnie natura, ale okazywało się, że albo niewłaściwie pojmowano sztukę albo nie bardzo zdawano sobie sprawę z tego, co to jest natura. Jeśli ktoś uważał za sztukę ślepe naśladownictwo zewnętrznych objawów natury czyli przyrody, to oczywiście nie była to sztuka we właściwym znaczeniu, ale mniej lub bardziej zręczne rzemiosło, które nie przekroczyło nigdy granic techniki — jeśli zaś ktoś uważał za naturę wszystko to, co się widzi, słyszy lub czego się dotyka, to oczywiście nie była to natura we właściwym znaczeniu, ale jej zewnętrzne i przypadkowe objawy czyli przyroda.

O tym, jak fałszywie w ciągu wielu wieków pojmowano sztukę, naturę i ich wzajemne związki, można się przekonać, wertując dwa opasłe, obficie ilustrowane, tomiszcza „Nowoczesnego malarstwa polskiego" Tadeusza Dobrowolskiego, wydane ostatnio przez Zakład Narodowy im. Ossolińskich. I tu warto zanotować podziwu godny fenomen. Najczęściej fałszywie pojmowano i sztukę i naturę, a jednak w praktyce tworzono prawdziwe dzieła sztuki odtwarzające istotę rzeczy czyli naturę. Czym to wytłumaczyć? Ano chyba tym, że w formułowaniu teorii na temat sztuki i natury posługiwano się oderwanym od doświadczenia rozumowaniem, a w praktyce tworzenia sztuki opierano się na sprawdzonej doświadczeniem intuicji i wyobraźni. I w ostatecznym rezultacie intuicja i wyobraźnia, potwierdzone praktyką tworzenia, nie zawiodły i dotarły do istoty tych pojęć.

Nie dziwota, że słynny Jan Jakub Rousseau, błędnie pojmując i sztukę i naturę, potępiał sztukę, przypisując jej każenie natury. Rousseau był wielkim erudytą, a wiadomo jak wiele błędnych obok prawdziwych sądów zawiera w sobie wszelka erudycja. Erudycję trzeba za każdym razem, ilekroć się ktoś do niej odwołuje, uwierzytelniać. Inaczej narażamy się na powtarzanie wieki trwających niesprawdzonych błędów i fałszywych pojęć. Wystarczy się powołać na przykład na Arystotelesa, który formułując prawo ciążenia twierdził, że im ciało cięższe tym prędzej spada. I to fałszywe twierdzenie, nie poparte doświadczeniem, lecz jedynie bezkrytycznym autorytetem genialnego filozofa, przetrwało kilkanaście wieków, aż dopiero w roku 1586 obalił je pewien holenderski kupiec, rzucając z wieży kościelnej duży i mały kamień, które spadały na ziemię jednocześnie.

Tutaj, na marginesie, należy zwrócić uwagę na niezmiernie ważną rolę tzw. szczęśliwego przypadku w nauce, a zwłaszcza w sztuce, przypadku, którego ani rozumem ani wyobraźnią przewidzieć nie można, czasem tylko można go prze-

(Dokończenie na str. 9)

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Widok z Elbrusu — najwyższego szczytu Kaukazu

W górach KAUKAZU

giczny powłócząc jedną nogą w dziwnych podrzutach, jedną ręką podtrzymując rozwiewające się poły burki, ja niepewny, ciekawy, półubrany za nim. Przypomniały mi się opowiadania o turystach, zaginionych w górach, o rozbojach i mordach a sceneria coraz bardziej takie myśli sugerowały. Weszliśmy w wąski kenion potoku. Przez kontrast z wirującymi od słońca łąkami było tu mroczno i wilgotno. Na dole zostawiłem plecak i coraz bardziej tego zaczynałem żałować. Weszliśmy na maleńkie pięterko kenionu. Starzec skierował się w prawo. Przed nami wznosiła się pionowa skała. Zatrzymał się. Dopiero teraz spostrzegłem niski murek z poukładanych płaskich kamieni. Przeszliśmy podwórze cuchnące silnym odorem owiec, nowy wyższy murek i za nim podwórzec dla krów i za następnym dopiero maleńkie podwóreczko z porozstawianymi sprzętami gospodarczymi. W jednym rogu stała niska szopa, był to kosz. Na wysokiej żerdzi niby proporzec wisiały ogromne w swym upodleniu zwłoki króla ptaków.

Wnętrze było mroczne. [illegible] kilka minut nim oczy przystosowały się nie mogłem nic dojrzeć poza dwoma małymi prostokątami światła u szczytu ścian; spełniały one rolę komina.

— Jeśli pójdziecie jeszcze tą ścieżką do góry, za godzinę marszu zobaczycie stojącą z lewej strony na zboczu basznię. Domostwa już zupełnie rozwaliły się, lecz baszta sterczy, jak tylko pamięcią sięgnąć, niezmienna. Kiedyś, dawno, kiedy żył dziad mojego dziada, mieszkał w niej kniaź imieniem Kurmanali. Był to bogacz największy w całej dolinie. Miał 10.000 owiec, które jak chmury pełzły stadami po zboczach. Miał 1000 krów, setki koni, z których każdy wart był majątek dla wojownika. Największym dlań skarbem była jednak żona — Chadża. Była tak piękna, jak żadna kobieta dotąd i nigdy później. Ludzie przychodzili z daleka, żeby ją oglądać, tak jak ogląda się rzeczy dziwne i piękne.

Zapadło milczenie. Zaintrygowany siedziałem nieruchomo ściskając w jednym ręku gorący jeszcze placek, w drugim trzymając drewniany kubeczek z ajranem. Jak się okazało ajran nie jest to wcale alkohol, lecz specjalnie fermentowane mleko, aromatyczne, zimne, gazowane. Starzec siedział obok mnie w kucki i szarpiąc placek, wrzucał okruszyny do ust. Z dali słychać było jedynie groźny huk potoku.

— W letni wieczór — podjął po chwili swą opowieść — do Kurmanaliego przyjechał z wizytą bogaty kupiec Kabardyniec Chułamchanow. Obaj mężczyźni siedzieli przy stole a Chadża usługiwała im, podając mięso, nalewając samogon. Z ciekawością patrzyła na kupca, który opowiadał o dziwnych, dalekich krajach i doznanych tam przygodach. Chułamchanow zdawał się jej niedostrzegać; opowiadał i pił, pił i opowiadał. Aż wszedł księżyc jasny i wielki jak oczy Chadży. Wtedy kniaź Kurmanali powstał i zaprowadził gościa na drugą stronę jaru. Naprzeciwko baszty stał wygodny letni dom, w którym były izby dla gości i młodzieży. Pogasło już światło i wszyscy poszli. Nie było snu tylko dla kupca i Chadży; on przyjechał tu by ją zobaczyć i gorzał wielkim pożądaniem, ona nie mogła znieść jego udanej obojętności.

Noc była wysoka, jasna i Chułamchanow spostrzegł w oknie baszty białą koszulę Chadży. A miał już plan chytry i prosty, którym chciał zwabić Chadżę do swej izby. Z przywiezionej ze sobą białej wełny uformował długi i gruby członek i przytrzymując go wyszedł przed dom niby to za potrzebą.

„Kniaź jest stary, nie dba już o mnie a pilnuje nieznośnie. Ucieknę od niego z kupcem" tak pomyślała Chadża. Narzuciła na siebie czarną chustę i wykradła się z baszni.

Chułamchanow wyprowadził swego konia posadził przed sobą kobietę i zatętniła ziemia od pospiesznego galopu. Jechali godzinę, jechali dwie, lecz gdzie dolina się zwęża usłyszeli za sobą dudnienie i krzyki; to kniaź, zebrawszy pastuchów, pędził jak wicher w pogoń. Koń Chułamchanowa nie mógł ratować obojga; rzucił więc kupiec Chadżę na ziemię a sam popędził dalej. Miał nadzieję, że kniaź zaprzestanie pogoni. Kurmanali kazał związać pastuchom Chadżę i zawieźć do zamku. Tam zamknąć i pilnować by nie uciekła ani by sobie nic złego zrobić nie mogła. Sam z resztą ludzi popędził za kupcem. Jechali tak cały dzień i całą noc Z orszaku goniących został już tylko książę. Przejechawszy dwa grzbiety górskie dotarli do doliny Baksan.

— Ratujcie mnie ludzie, ratujcie mnie bracia. Kurmanali chce mnie zabić. Schowajcie mnie a zapłacę ile zażądacie.

Nie było czasu. Otaczający kupca tłum spostrzegł szarego od kurzu konia. Świsnęła strzała i ugodziła w wystającą ponad zebranych głowę zbiega. Szczęściem miał on tak wysoką czapę, że przebiwszy ją na wylot grot tylko lekko zranił mu głowę. Upadł kupiec na kolana:

— To ona mnie do tego przymusiła, błagam o zmiłowanie. Ulituj się a zapłacę ci ile chcesz. Jam jej nawet nie uścisnął, bojąc się ciebie. Całą ziemię ci dam. Wszystko złoto ci dam. Tylko pozwól mi stąd odejść cało.

Darował mu kniaź życie. Wziął ziemię, wziął złoto i wrócił do domu. Lecz hańba jego nie była zmazana. Po nocy bezsennej wyszedł przed bramę, spostrzegł pasące się po drugiej stronie doliny dzikie świnie. Nie było strzelca takiego jak kniaź Kurmanali i nigdy już taki się nie urodzi. Łuk jego sięgał dalej niż oczy innych ludzi. Przynieśli słudzy dzika z przebitym sercem.

Kazał kniaź przyprowadzić Chadżę. Nie płakała, nie wołała o zmiłowanie. Przywiązano jedną jej nogę do jednego konia, drugą do drugiego i rozgoniono na dwie strony świata. Kości rozwłóczone po dolinie pozbierali pastuchy i na rozkaz kniazia wspólnie z ubitą świnią pochowali pod kamieniem przy drodze. Kniaź też żył już niedługo, a przed śmiercią kazał udusić małego syna Chadży. Nie został nikt, kto chciałby żyć na tym miejscu tragedii i dom rozsypał się w gruzy.

Wstrząśnięty zasłyszaną historią wkrótce pożegnałem gościnnego starca. Na dole pod kamieniem jego wnukowie urządzili sobie szańce z mego plecaka i walizki. Obrzucali się zza nich zajadle słowami (niestety po bałkarsku) i kamieniami. Długo potem miałem przed oczyma barwnie przedstawione sceny i ilekroć naciągałem na opowiadania mych przygodnych rozmówców drżałem przed ponownym usłyszeniem o pięknej Chadży i jej losach.

Zmęczyło mnie pisanie. Za oknem dziwnie kontrastowe w bocznym oświetleniu słońca chmury kuszą na spacer. Pod drzewami po kostki w szeleszczących liściach, przez pole w wietrze i słońcu pójdę wyparowywać niepokój i zmęczenie.

LECH UTRACKI

Drugi stambulskie oddycha gorycze
Lub pije z chińskich ziół ciągnione treści.

i Rymkiewicz:

Ta zmienność losów śledzi na swej dłoni
Gdy rytm bluesu porzuca na chwilę
Tą gwiazdką śniegu spina włos trefiony
A ich oddechy to zimy motyle.

Rymkiewicz naładowuje jednak swój wiersz współczesną mitologią („Dla nas nad śniegi płonie kwiat neonu", „Rzecz to nieważna jakich bogów czcimy").

Jego obrazowanie wykorzystuje także charakterystyczne zdobycze współczesnej cywilizacji.

Tom został podzielony na trzy cykle. Trzeci z nich, chronologicznie nam najbliższy, to próba nowych poszukiwań zarówno tematycznych jak i formalnych. Próba wyraźnej choć swoiście ekspenowanej polemiki z filozofią tomistyczną uchwytna jest szczególnie w wierszu tytułowym tomu. Tendencja do postawienia nowych zagadnień specyficznie filozoficznych, co zresztą rzutuje na formę wiersza quasi-sylogistyczną, jeśli można tak powiedzieć, zaznacza się w takich wierszach jak „Spinoza był pszczołą" czy „Pogrzeb metafizyka". Znać tam lekturę traktatów filozoficznych czy dzieł specjalistycznych. Myślę, iż istnieje tutaj pewne niebezpieczeństwo dla poety. Zewnętrzna efektowność tych wierszy, wynikająca m. in. z [illegible] markowania logicznego wy[illegible]du o zamkniętym systemie też, przesłanek [illegible] w iosków niekiedy okupywana jest kamuflażem istotnej problematyki. Myślę także, iż wiersze te częściowo powstałe z ducha ironiczno-wykrzyknikowego, a więc jednego z wielu aspektu poetyki Wallace'a Stevensa, poety, którego Rymkiewicz zna, ceni i tłumaczy, są etapem przejściowym w rozwoju autora.

Tematycznych obsesji Rymkiewicza należy szukać w dwu pierwszych cyklach tomu. Tutaj jasno wykłada się w każdym bez mała wierszu tak typowa dla Rymkiewicza wszechobecna i wszechobejmująca mitologia czasu. Czas zresztą jest u Rymkiewicza pojęciem hipostazowanym. Będzie to na ogół mrówka, która, lektura jego wierszy to potwierdza, jest egzystencją wiecznie permanentną, prawie niezniszczalną. Oczywiście mrówka umiera, Rymkiewicz wie dobrze o tym, ale na szlachetny użytek jego symboliki staje się trwałą, bezustannie penetrującą naturą triumfatorką. „Ząb mrówki, tysiącleci pałac budujący", — napisze w jednym ze swoich wierszy.

Źdźbło trawy niesie lub martwego żuka
Poprzez swój pliocen i pod swoim słońcem
I do zamczystych ludzkich królestw stuka;
Eksplozja życia,
nieświadomość końca.

Tak powie o mrówce w wierszu o charakterystycznym tytule „Epitafium dla mrówki".

Temat dla przyszłych seminarzystów: Biologiczno-entomologiczna symbolika w poezji J. M. Rymkiewicza.

Jest Rymkiewicz poetą katastrofizmu potencjalnego zgodnie zresztą z duchem epoki, w której roztargniony robotnik może włączyć niewłaściwy guziczek. W takiej sytuacji poeta powtarza niekiedy horacjańską zasadę carpe diem, dodając do tego szczyptę ironii.

Jest Rymkiewicz poetą pogańskiej prawie ziemskości objawiającej się w symbiozie z intelektualizmem epoki, gdzie jednak wartością najwyższą staje się ludzka planeta, do której wraca się poprzez „wnętrze róży" czy gwałt zadając „w centrum kamienia". Tam w „sezon zmarłych", który przecież jest tylko inną formą zabawy ziemskiej zstępuje Ewa czyli Belinda, tam ją witają „żarty wachlarzy" i „pudrowane peruki". Oto więc formuła ostatnia: mamy do czynienia z poezją specyficznie egzystencjalistyczną w szlachetnym, humanistycznym znaczeniu słowa, a więc taką poezją, która zawsze i przede wszystkim odwołuje się do konkretnego ludzkiego istnienia.

Zapewne o kilku co najmniej jeszcze sprawach można by mówić. Na przykład: jak się mają poetyckie realizacje Rymkiewicza do jego programu teoretycznego (sformułował go w eseju „Trzy wiersze"). Na przykład: o wpływie polskiej poezji barokowej. Zapewne, „Człowiek z głową jastrzębia" to temat do studium komparatystycznego. Ale takie studia pisano przecież i o wielkich poetach.

Jarosław M. Rymkiewicz „Człowiek z głową jastrzębia". Wyd. Łódzkie 1960 r.

MALARIA (2) – ZMORA LUDZKOŚCI

1962 R. — W EUROPIE NIE BĘDZIE ZIMNICY

Niejednemu Europejczykowi wydawać się może rzeczą dziwną, że nadal zaprzątamy sobie głowy zimnicą. Wyobraża sobie, że choroba ta, podobna do średniowiecznych epidemii, dawno już zniknęła z powierzchni naszej ziemi. W rzeczywistości nieliczne tylko kraje częstokroć ogromnym wysiłkiem, zdołały się pozbyć tej plagi. Na honorowej liście należy umieścić Włochy, Francję, Holandię, Węgry, Polskę, Czechosłowację, Ukrainę i Białoruś

Bitwa toczy się nadal w rejonie basenu śródziemnomorskiego. Z europejskiego kręgu Światowej Organizacji Zdrowia jedenaście krajów — wliczając w to Algerię, Maroko i Turcję — nie wyszło jeszcze ze strefy całkowitego zagrożenia. Szczególnie trzy wymienione państwa borykają się z kompleksem trudnych problemów profilaktyki i trzeba będzie dłuższych zachodów, nim usunie się tam niebezpieczeństwo. Na kontynencie europejskim sytuacja przedstawia się o wiele korzystniej i z całą ufnością można przewidywać, że w ciągu niespełna dwóch lat, w roku 1962, malaria przestanie tu istnieć. A przecież jeszcze dziesięć lat temu zbierała obfite żniwo — setek tysięcy ofiar rocznie — na obszernych terenach, na których władała przez wieki. Oto dlaczego sukcesy osiągnięte w Związku Radzieckim, Grecji, Rumunii, Hiszpanii, Portugalii i innych krajach uważa się za wielkie zwycięstwo ludzkości.

Raz przynajmniej Europa okazała się solidarna. Jest wszakże racja, by walkę przeprowadzić jak najszybciej i uwolnić niemal równocześnie od zagrożenia cały kontynent. Komar roznoszący zimnicę przekracza granice państwowe jeszcze łatwiej niż człowiek, który nosi we krwi zarodziec infekcji. Choroba może przenieść się na terytoria, które wielkim nakładem kosztów już się wyzwoliły od zmory.

KOMUNIKATY Z FRONTÓW

Trzynaście krajów, a wśród nich Polska, wyzwoliło się już całkowicie od zmory zimnicy, kilkanaście — niemal się jej pozbyło. Na wielu terytoriach walka się jeszcze toczy. Ale pozostało nadal 56, które planują dopiero początek kampanii.

Do kwatery doktora Alvarado nadchodzą meldunki z całego świata: dane statystyczne, wyliczenia ekonomistów, raporty kasowe. Tylko... za suchymi cyframi kryje się ogrom cierpień i nieszczęścia. Trzeba je umieć odczytać.

„Nasz inspektor sanitarny — powiada dr Alvarado — *dotarł pewnego dnia do boliwijskiej wsi w Andach. Zobaczył umęczonych ludzi, otępiałych, snujących się jak cienie. I nigdzie ani jednego dziecka. Po długich poszukiwaniach znalazł wreszcie dwoje.*

— Gdzie reszta? — zapytał.

— Chujchopuchos? — zdziwili się chłopi. — U nas nie ma chujchopuchos. U nas żyć nie mogą.

Chujchopuchos to znaczy ci, którzy przetrzymali malarię."

Na szczęście coraz więcej sprawozdań pobrzmiewa weselszą tonacją. Oto, co pisze dr Paul F. Russell, jeden z konsultantów WHO:

„Kiedy odwiedziłem Sardynię po raz pierwszy w roku 1939, byłem przerażony żałosnym wyglądem zakażonych wiosek. Na progach domostw tkwiły bez ruchu dzieci. Z wydętymi brzuchami, wynędzniałe, blade i apatyczne...

W roku 1950 zwiedziłem ponownie te same miejscowości. Wszędzie spotykałem gromady dzieciaków — różowych, dobrze odżywionych, hałaśliwych, pełnych życia i energii....

Wybrałem się wówczas do Oristano na zachodnim wybrzeżu wyspy. Była to dawniej okolica tak malaryczna, że przed wiekami powstało przysłowie: Chi va a Oristano, resta a Oristano (kto udaje się do Oristano, zostaje w Oristano). Roboty podjęte tutaj za czasów Mussoliniego, przyniosły fiasko, ponieważ melioracje dla zwiększenia wartości gruntów nie wystarczają do usunięcia malarii. Miejscowi chłopi byli niezdolni do ciężkiej pracy, sprowadzonych kolonistów również wkrótce zmogła choroba. Ale po dwudziestu latach zastałem zdumiewający kontrast. Same zasobne, dobrze prosperujące gospodarstwa, ludność zaradną i zadowoloną z życia. I to zaledwie w dwa lata po ostatecznym zlikwidowaniu zimnicy. Nie miałem tu już nic do zdziałania..."

A oto fragmenty referatu dr L. J. Bruce-Chwatta o sukcesach walki z zimnicą w Związku Radzieckim:

W ciągu wieku XIX i w początkach XX — malaria była w Rosji jedną z głównych chorób endemicznych. Srożyła się w całym kraju, ale szczególnie na Kaukazie, w Zakaukaziu, w Azji Centralnej i wzdłuż dolnego biegu Wołgi. Wśród garnizonów stacjonujących nad brzegami Morza Czarnego i w pobliżu granicy perskiej notowano śmiertelność dochodzącą do 25 procent. Przeciętnie na malarię zapadało pięć milionów ludzi rocznie.

Ogromne ruchy migracyjne i ogólna obniżka stopy życiowej po pierwszej wojnie światowej spowodowały epidemię malarii największą w nowożytnych dziejach Europy. Chorowało przeszło 12 milionów ludzi, umierało rocznie około 600 tysięcy. W niektórych regionach basenu Wołgi oraz Kaukazu ani jeden człowiek nie uniknął zarażenia.

Z początkiem lat dwudziestych w Moskwie, a potem w innych większych miastach, powstały instytuty antymalaryczne, które zakładały swoje placówki po wsiach i miasteczkach. Sytuacja znacznie się poprawiła i śmiertelność spadała z roku na rok.

Po spustoszeniach drugiej wojny i przejściowym, bardzo zresztą znacznym wzroście zachorowań, władze przystąpiły energicznie do ponownej walki z zimnicą. W roku 1951 uchwalono narodowy program likwidacji zimnicy jako choroby społecznej. Zakładano ostateczne wykonanie planu na rok 1960. Użyto najbardziej nowoczesnych metod walki, wciągnięto do akcji ogromne masy ludzi. W roku 1956 prawie dwa miliony osiemset tysięcy osób — blisko 1,3 procent całej ludności państwa — zajmowało się pod różnymi tytułami ochroną zdrowia. Na brak personelu nie można było narzekać.

Ale też wyniki były zdumiewające. W roku 1952 zanotowano 183603 przypadki zachorowań, po sześciu latach już tylko 4678. Na każdych stu chorych w roku 1940 przypadało po wojnie: w roku 1945 — 103, 1949 — 42, 1952 — 4 i 1956 — 0,25. Istotnie można wierzyć, że plan zostanie wykonany w terminie.

WYSUNIĘTY PRZYCZÓŁEK

Ze wszystkich jednak europejskich odcinków frontu walki z zimnicą najważniejszy dla WHO — bo najbardziej zagrożony — stanowiła Grecja. Tu, w najbardziej malarycznym kraju kontynentu, po raz pierwszy wystąpiła solidarnie do boju z widliszkiem międzynarodowa koalicja, tu dokonano pierwszego eksperymentu z użyciem na masową skalę piorunującego DDT. To właśnie tutaj stwierdzono, że po zmasowanym ataku można przerwać rozpylanie środków owadobójczych nie dopuszczając do powtórnego nawrotu choroby. I właśnie w Grecji zaobserwowano pierwsze objawy odporności komara.

„W 1938 roku — pisze profesor Jerzy Belios, kierownik służby antymalarycznej w Grecji — mieliśmy około miliona przypadków chorobowych zimnicy i około dziesięciu tysięcy zmarłych. W roku 1958, chociaż ludność wzrosła w tym czasie o dwa miliony, zanotowaliśmy tysiąc dwieście zachorowań i ani jednego zejścia śmiertelnego. Przed wojną zimnica kosztowała nas około 50 milionów dolarów rocznie, wliczając w to stracone roboczogodziny, zasiłki, koszt kuracji szpitalnych i lekarstw — musieliśmy sprowadzać co roku przeszło trzydzieści ton chininy. Dzisiaj nasz aparat antymalaryczny nie kosztuje nawet ośmiuset tysięcy dolarów rocznie, a jednocześnie po spadku nasilenia choroby, oczywiście nie wyłącznie z tego względu, nasz dochód narodowy wzrósł o 75 procent.

Ogólna śmiertelność spadła po dwudziestu latach z siedemnastu promil do siedmiu, śmiertelność dzieci i niemowląt ze 135 na tysiąc do 40. W tym samym czasie nasi rekruci urośli przeciętnie o cztery do pięciu centymetrów".

Walka z malarią rozpoczęła się przy ogólnym entuzjazmie w 1946 roku. Siedemnaście samolotów zraszało systematycznie wszystkie bagna i ryżowiska środkami larwobójczymi. Równocześnie ruszyły ekipy antymalaryczne. Akcją objęte zostało pięć tysięcy osiedli spośród ogólnej liczby jedenastu tysięcy. Wytępiono niemal bez reszty wszystkie insekty. Ustała nie tylko epidemia malarii, ale też dezynterii. Po odkażeniu pól oliwnych zbiory wzrosły tego roku o 25 procent.

Po pięciu latach systematycznej kampanii pulweryzację trzeba było przerwać. Zabrakło środków owadobójczych.

Ale wówczas okazało się, że nie jest to już konieczne. Przekonano się — potwierdziła to później konferencja ekspertów — że walkę z zimnicą można rozłożyć na dwa zasadnicze etapy: zmasowanego ataku na roznosiciela choroby oraz podjazdowego tropienia sporadycznych, nadal jeszcze występujących, uporczywych przypadków.

Dzisiaj, kiedy cała Grecja, łącznie z niezliczonymi wysepkami archipelagu, pokryta jest siecią placówek antymalarycznych, malaria wytępiona została niemal całkowicie. Ekipy tropicieli obchodzą wsie i pojedyncze zagrody, zaglądają od drzwi do drzwi. Współpracuje z nimi 1100 miejskich i wiejskich ambulatoriów. Sołtysi, nauczyciele, kapłani, wszyscy czują się w obowiązku sygnalizować każdy podejrzany przypadek choroby. Bada się systematycznie krew wszystkich chorych zgłaszających się do leczenia. Natomiast rozpylanie środków owadobójczych ograniczono do minimum.

W ten sposób Grecja pozbyła się plagi, która — jak mówiono — zaważyła na jej losach.

„Przez dwa tysiące lat — stwierdza profesor Belios — choroba przeżarła nasz kraj i zostawiła po sobie głębokie rysy.

Ale już w mitologii znajdujemy niejedną wzmiankę o robotach asenizacyjnych podejmowanych w celu wytępienia zimnicy. Przypomnijmy sobie chociażby mit o Herkulesie. Polecono mu pokonać Hydrę Lernejską, która dziesiątkowała ludzi i bydło. Najwyraźniej chodzi tu o malarię.

A jednak w starożytności malaria nie była w Grecji tak rozpowszechniona, ani tak groźna jak w przededniu naszej powojennej kampanii. Warunki geograficzne i klimat znacznie się od owych czasów pogorszyły. Temperatura była wówczas również sza, lasy obfitsze, zbocza gór — dziś jałowych i nagich — porastała bujna roślinność. Ulewy nie wywoływały gwałtownych i niszczących potoków, racjonalniej prowadzono roboty hydrauliczne, lepiej nawadniano grunta i lepiej uprawiano rolę. Skrupulatniej przestrzegano także przepisów higieny, ludzie byli więc zdrowsi.

Profesor Belios dochodzi wszakże do wniosku, że właśnie malaria — rozprzestrzenieniu której nie zapobieżono w okresie wojen wewnętrznych — doprowadziła w końcu do upadku antycznej Hellady i jej wspaniałej kultury. Jak bowiem wytłumaczyć inaczej tak nagłe i tak powszechne załamanie się narodu — bitnych żołnierzy, prężnej administracji, pracowitych rolników. Dlaczego rozpadły się instytucje, zaniedbano melioracji, zaniechano uprawy gruntów? Dlaczego ziemie dawniej kwitnące przekształciły się wkrótce w jałowe ugory, rozpadły dumne miasta, a kraj filozofów i artystów zalała na długie stulecia fala obskurantyzmu?

Dzisiaj Grecja powoli odżywa. Jesienią ubiegłego roku objeżdżała kraj komisja sprawozdawcza WHO. Zewsząd wyniosła najlepsze wrażenia.

„Mogliśmy oglądać zakończenie zbiorów na rozległych polach ryżowych i bawełnianych w Skala na południu Peloponezu. Jeszcze dziesięć lat temu połowa gruntów leżała tutaj odłogiem, a zimnica nie oszczędzała nikogo. Teraz widzieliśmy obfitość dóbr, urząd skupu czynny dniem i nocą, rozbawione tłumy pod oliwkami — jarmark, na którym chłopi aprowizowali się w zapasy na zimę.

Istnieje tutaj szczególnie delikatny problem koczowników, którzy mogą zawlec zarazki na oczyszczony teren. Pomimo tego w Skala w roku 1959 stwierdzono jeden tylko przypadek zimnicy, pewien żołnierz wracając do domu po odbyciu służby wojskowej wymknął się z sieci inspekcji sanitarnej. Służba antymalaryczna jest tu szczególnie czujna. W Skala bowiem, już po kampanii pulweryzacyjnej pojawiły się nowe roje komarów.

Właśnie w Skala oraz w Nauplie — trochę bardziej na północ — objawiło się po raz pierwszy na świecie zjawisko odporności komarów na środki owadobójcze. W październiku 1951 komary pokazały się ponownie w domach i chłopi obwiniali funkcjonariuszy stacji epidemiologicznej o niedbałe wykonywanie obowiązków. Profesor Belios zawiózł owe oporne mustyki do Ross Institute i tak rozpoczęła się druga faza kampanii.

Od owego październikowego dnia odnaleziono w różnych stronach świata 19 gatunków komarów — roznosicieli odpornych na ten czy inny środek owadobójczy. Jednakże, po żmudnych dociekaniach laboratoryjnych większość przeciwników udało się pokonać. W chwili obecnej już tylko trzy gatunki wykazują opór —, w różnym zresztą stopniu — na wszystkie środki, jakimi dysponuje antymalaryczna krucjata.

Na podstawie materiałów UNESCO opracował — K. J.

ZA SUCHYMI CYFRAMI KRYJE SIĘ CIERPIENIE LUDZKIE.

	Ogólny koszt akcji antymalarycznej	Straty roczne powodowane malarią
	(w mln. dolarów.)	
Afganistan. (w ciągu 10 lat 1949—59 zlikwidowano malarię niemal całkowicie).	0,75	20
Cejlon. (d-tto)	5	30
Syjam. (niemal całkowita likwidacja w latach 1954—58)	2,50	15
Meksyk. (preliminowany koszt akcji pięcioletniej)	25	175
Indie. (preliminowany koszt akcji obliczonej na kilkanaście lat. W Indiach zapada rocznie na zimnicę 50 milionów ludzi)	190	500

Grzegorz Timofiejew

CZŁOWIEK jest nagi

Mimo ostrzeżeń Gałaty Futterraum stał się miejscem, gdzie gadano o Polsce. O, nie przypisuję sobie żadnych zasług! Po prostu koledzy z komanda przychodzili tu, żeby się spokojnie „wypchlić". Wytrząsając pchły z bielizny opowiadali obozowe parolki, a że znajdowali we mnie cierpliwego słuchacza zawiązywała się jakaś nikła „nić konspiracyjna". M. in. zaprzyjaźniłem się z Leonem Konstenskim i Rajmundem Łączyńskim.

Jak wspomniałem, komando słynęło z organizacji. Futterraum nadawał się do tego znakomicie. W trawie można było chować niezliczone rzeczy. Tylko umiejętnie, pamiętając gdzie co zostało ukryte.

Pewnego razu wszedł do Futterraumu kapo.

— Grzegórz! — ostrzegł mnie — żeby mi tu nic nie organizować. Głową kolega odpowiada.

Zapewniłem Gałatę, że może być spokojny.

Po chwili wpadł do Futterraumu więzień z Brotabladen i chciał wsunąć do trawy dwa zorganizowane bochenki chleba.

— Ale, ale — huknąłem na organizatora — zjeżdżaj z tym chlebem. Kapo zabronił tu cokolwiek chować. Ja głową za to odpowiadam.

Więzień z Brotabladen wyciągnął zza pazuchy „skórę" (górną część bochenka) i podając mi dodał:

— Masz. Więcej twoja głowa nie warta.

Odtrąciłem chleb:

— Nie potrzebuję. A chować tu kapo zabronił.

Więzień parsknął śmiechem i mimo mego sprzeciwu wetknął w trawę dwa bochenki.

W Futterraumie siedział na drewnianej skrzynce i obierał kartofle świeżo przyjęty do komanda więzień. Był to Niemiec z zielonym winklem. Nazwiska nie pamiętam. Natomiast imię: Emil. Tak wszyscy na niego mówili: Emil.

Emil milcząco obserwował zajście, a gdy organizator z Brotabladen wyszedł, zapytał mnie:

— Jak długo siedzisz w obozie?

— A co to ma do rzeczy? Kapo nie pozwolił.

Emil chwilę milczał, później rzekł:

— Jesteś jeszcze bardzo głupi.

Obraziłem się. Emil zaś obierał kartofle i medytował:

— Tak, bardzo to było bardzo głupio z twojej strony. Dlaczego nie wziąłeś „skóry"?

— Ambicja mi na to nie pozwoliła

Emil podniósł na mnie nie słychanie zdumiony wzrok. Przyjrzał mi się dziwnie, a potem zauważył:

— Mówią o tobie, że brak ci klepki.

Wymownie stuknął się w głowę.

Oburzyłem się:

— Dlaczego?

— Podobno nie chcesz królików zarzynać? A może ty Bibelforscher?

— Nie, po prostu nie mogę: żal mi stworzenia.

Emil aż wstał, tak poruszyła go moja odpowiedź.

— Żal? Królika żal? Ja tu od czterdziestego roku siedzę, a takiego co by tak mówił, jeszcze nie słyszałem. W obozie ludzie ludzi mordują i nikomu nikogo nie żal.

Pokiwał karcąco głową:

— Nie wierzę ci. Musisz być wielka świnia, Grzegorz. Chleb mogłeś wziąć i dać głodnemu. Mówisz: ambicja. Takiś ty cacany? Dlaczego nie powiesz, że chleba nie potrzebujesz? Boś nażarty, a innych masz w dupie. Dla czego udajesz, że jesteś lepszy od innych? Ludzie tu ludzi mordują, a ty królika nie chcesz zarżnąć? Bo nie musisz ani bić, ani mordować... A wcale nie jesteś lepszy. Kłamiesz. Wielka świnia z ciebie, Grzegorz...

Emil gadał podniecony i wymachiwał kozikiem do obierania kartofli. Oskarżenie o świństwo tak dalece mnie zaskoczyło, że nie zdobyłem się na reakcję. Milczałem stropiony. A jeśli on ma słuszność?

Nie przeżyłem z ludźmi najgorszego. Przyjechałem do „sanatorium". Czy cnota moja nie była z przypadku?

Panowało kłopotliwe milczenie. Emil już ochłonął i trochę było mu nieswojo, że się tak uniósł. Ja szukałem w myśli kontrargumentów, ale im dłużej myślałem, tym bardziej czułem się zmieszany. To, co w życiu było normalne, tu zakrawało na udawanie.

Nieprzydatność tradycyjnych kryteriów okazała się całkowita.

Ta przykra rozmowa z Emilem zorientowała mnie, że obóz rządzi się własnymi, bardzo konsekwentnymi i na swój sposób moralnymi prawami. Jako pisarz powinienem je zrozumieć, nie stroniąc od ludzi nawet wtedy, gdy stoczyli się nisko.

Kiedyś Emil zagabnął mnie:

— Nie jesteś ciekaw mojego życia? Mówią o tobie, że piszesz.

Odpowiedziałem wymijająco:

— Nie siedzisz za politykę.

— To złodziej nie nadaje się do książki? A ja myślałem, że zainteresuje cię moje życie. Przecież byłem kiedyś człowiekiem.

Na tym skończyła się rozmowa, ale nie sprawa. Patrząc na zbiedzonych, zmuzułmaniałych i upodlonych przez wroga myślałem:

— Przecież byli kiedyś ludźmi.

W dzieciństwie wpajano mi różne „zdrowe zasady". Najważniejsze, żeby „wyjść na człowieka". Kiedy pytałem dorosłych, w jaki sposób, odpowiadano mi, że „człowiek jest kowalem własnego losu".

No, niechby teraz ci kaznodzieje przyszli do gusenowskiej „kuźni"!

Inne prawa, doznania i uczucia. I inne normy wartościowania. Jak tu w obozie „wykuwać" swój los? Potworny młot terroru ubijał ludzi na bezkształtną miazgę. Jak w takich warunkach ocalić człowieczeństwo?

To były dla mnie nowe myśli. Z grozy i niedoli obozu, i, o dziwna przewrotności rzeczy, z mojego spokoju na króliczym komandzie.

W tym samym czasie dwukrotnie wyszedłem na „aussen". Poprosiłem kapo i przydzielił mnie do kosiarzy. Grabiłem świeżo skoszoną trawę. Wprawdzie obserwujący mnie posten orzekł słusznie, że grabię „jak stara czarownica", ale nie o robotę w tym wypadku chodziło. Gałata dał mi po prostu okazję, żeby ze dwa razy „kuknąć" na piękną przyrodę Oberdonau. Grabiłem nieudolnie, to prawda. Ale ważniejsze, że dwukrotnie własnymi nogami stałem na łące.

Wychodziliśmy pod eskortą postów. Parę kroków od kolumny śmierć. Posten miał prawo strzelać w razie oddalenia się więźnia. Więc tu gdzieś wśród wysokich traw, mleczów, macierzanki, fioletowych i żółtych krysów czaiła się śmierć. Piękno osłaniało ją, maskowało. Parę nierozważnych kroków i wyciągnięcie ręki do krzaku dziko rosnących malin — oznaczało podobny ruch ręki po karabin gotowy do strzału.

Po odrażającej monotonii i grozie obozu przyroda tym gwałtowniej wołała do życia. Jej uroda była taka urzekająca, że aż niebezpieczna. Więzień musiał zdobywać się na hart, okiełznanie pragnień. Na naszym komandzie to się nie zdarzało, ale gdzie indziej więzień, oszołomiony i urzeczony, zrywał się do ucieczki. Padał od kuli.

Obóz bezpośrednio sąsiadował z terenem mieszkalnym, stykał się z domostwami. Idąc mijaliśmy schludne chłopskie zagrody. Z dziwnym uczuciem patrzyłem na wolnych ludzi, szczególnie na kobiety. Ich ruchy przy pracy były tak spokojne i harmonijne, jakby obok nie znajdował się obóz pełen przerażającej zbrodni. A może mężowie tych kobiet, bracia, synowie — służyli w eses? Może nas bili, mordowali? Jakże po tym wszystkim mogą przyjść do tych sielankowych domków, zasiąść przy stole, spokojnie rozmawiać? Przechodnie spoglądali na nas bez zdziwienia. Nawykli do widoku obozowych pasiaków. Ale oto ktoś odsuwa w oknie firankę, patrzy na nas dłużej... W ogródku, który właśnie mijamy, dziecko na nasz widok przestało kołysać lalkę... Przechodzę, wzrok zachłannie chciwy dostrzega, że lalka ma niebieską sukienkę...

Dalej łąki, pola... Lato w pełni, prace...

Zwykłe zajęcia koło gospodarstwa lub w polu, codzienna zazwyczaj nużąca krzątanina, teraz w moich oczach urastały do spraw o wielkiej wadze. Więc to właśnie jest wolność — wyjść za próg domu, burknąć na figlującego psa, poprawić grabie koło stodoły, albo zaprzęgając do wozu konia szorstko pokiepać go po karku? Albo ruszyć do furtki w płocie, minąć życzliwych przechodniów i pójść do polnych robót albo po prostu gdzieś przed siebie ścieżką między zbożami?

Tak, ale na tę ścieżkę zaraz u drogi kładł się cień esesmana z karabinem. Żeby chodzić nad Dunajem gdzie zachwycone oczy poniosą, dla wolności tych paru kroków, musi być wojny cały świat.

W niedługim czasie liście zaczęły wyraźnie żółknąć, lato dobiegało kresu. Należało się liczyć z redukcjami na Angorazucht. Oczywiście, zostaną starzy. Gdzie ulokować się na jesień? Szły słoty. Jesień, podobnie jak wiosna, to w Gusen najgorszy czas. Każdy więzień stara się trafić pod dach, żeby nie robić na deszczu. Deszcze zabijają. Zacząłem rozglądać się za czymś „odpowiednim" dla siebie. Przy pomocy Lubomira Szopińskiego trafiłem do sztajnmetzerów czyli kamieniarzy. Zostałem tu sprzątaczem. Po niemiecku mówiło się — Reininger.

Pożegnałem się z królikarzami. Mąka powiedział mi: „Wolę, wolę, nie mów, jak było w szkole". No, różnie było. Ale na ogół zachowałem o komandzie dobre wspomnienie. Z Gałatą rozstałem się serdecznie.

Któregoś poranka, kiedy ostry chłód zdradzał już zbliżanie się jesiennej pory, pomaszerowałem z gromadką Lubomira. Jak to się mówi — ku nowemu życiu.

Wychodziło się na teren sztajnbruchu Gusen przez Schuhhaus. Zbiórka odbywała się na placu apelowym w określonym miejscu zaraz za sztajnmetzerami. I choć wiedziałem, że idę do wiadomej roboty bez tragicznych niespodzianek — wymarsz przez Schuhhaus budził we mnie dreszcz przerażenia. Seidler w otoczeniu esesmanów, ujadające psy... Na „Mützen ab!" trzeba było błyskawicznie zedrzeć czapki z ogolonych głów i plasnąć nimi o prawe biodro tak, żeby ruch rąk był jeden i odgłos klapnięcia jeden. Twarz zwrócona w prawo patrzy, ale musi być bez wyrazu, jakby kamienna. Nie wolno się zdradzić. W obozie prócz pokory, biernej uległości nie można manifestować żadnych uczuć. To samo w powrotnej drodze. Z tą różnicą, że esesmani wpadali znienacka do szeregów i na oko łapali jakiegoś więźnia dla dokonania rewizji, czy on czegoś do obozu nie wnosi. Zawsze towarzyszyło temu lżenie, kopanie, bicie.

Droga prowadziła z obozu w kierunku południowym i wtedy chwytałem wzrokiem trochę śnieżystych Alp. Za orłami skręcaliśmy na Mauthausen, ale uszedłszy niewiele kroków maszerowaliśmy na północ. Tu w obrębie wielkiej postenketty znajdował się cel naszego wymarszu: sztajnbruch Gusen.

D. c. n.

SEDNO RZECZY

SZTUKA I NATURA

(Dokończenie ze str. 7)

czuć intuicją. Stąd tak wielkie znaczenie intuicji w pracy zarówno artysty jak uczonego.

Nic dziwnego, że nie tylko Rousseau, ale tak wielu przed nim i po nim, myliło się w stosunku do sztuki i natury, skoro za Arystotelesem byli wyznawcami mimetycznej (mimesis po grecku naśladownictwo) teorii sztuki, której zadanie widzieli w dosłownym odtwarzaniu rzeczywistości. Zgodnie z tym Lukrecjusz w poemacie „O naturze wszechrzeczy" („De natura rerum") tak mówi o narodzinach i pochodzeniu poezji i muzyki:

„Dużo wcześniej też ludzie śpiewną, ptaszęcą mowę
Oddać umieli ustami, nim pieśń stworzyli słowem,
Mogąc nią własne uszy zachwycać w śpiewie czystym.
Wpierw też wiatru na trzcinach dmące pośpiewne świsty
Dały wzór do gwizdania na pustych tykach. Później
Poznali zwolna tęsknych fujarek dźwięki przeróżne
Brzmiące spod palców, tworzących ustom narzędzie usłużne".

Dopiero w końcu XVIII wieku głośny filozof Helwecjusz w swym kardynalnym dziele „O umyśle" stwierdził, że istota natury ukrywa się głęboko pod zewnętrznymi zjawiskami przyrody, że „słowo geniusz pochodzi od czasownika gignere, gigno — rodzę, wytwarzam, zakłada więc zawsze wynalazczość", a nie mimetyzm, i że „spostrzeżenia dotyczące sztuki odnoszą się również do nauki". Odtąd coraz częściej nurtuje twórców przeświadczenie, że sztuka jest nie naśladowaniem, ale odkrywaniem natury. Baudelaire mówi, że „natura jest świątynią", w której ukryte bóstwo dopiero trzeba odszukać. Rilke twierdzi, że zadaniem sztuki jest odkrywanie niezmiennego w zmiennym, inaczej — mówiąc po dzisiejszemu — esencji w egzystencji. Wprawdzie największy współczesny rzeźbiarz Rodin w swoim „Testamencie" apeluje do artystów: „Que la Nature soit votre unique déesse" („Niech Natura będzie jedynym waszym bóstwem"), ale wyraz „natura" znaczy tu już całkiem coś innego, niż tylko przyroda — znaczy wewnętrzną istotę rzeczy wyrażoną zewnętrznymi elementami formy. Według Conrada sztuka, to „usiłowanie, aby wykryć... w zmienności materii i w przejawach życia to, co jest podstawowe, co jest trwałe i zasadnicze, jedyną cechę, która wyjaśnia i przekonuje, rdzeń wszelkich zjawisk. Artysta podobnie jak myśliciel lub uczony szuka prawdy".

Reasumując: sztuka jest uświadamianiem sobie sensu natury, a wyobraźnia artystyczna układa je w pewną propozycję ładu, w syntetyczny wzór — stąd złudzenie absolutnej nowości tego, co zostało artystycznie stworzone, a co nazywamy dziełem sztuki.

MARIAN PIECHAL

TELEwizja

To nie EDYTA

Zdobyliśmy zdjęcie spikerki telewizji paryskiej i czym prędzej przedstawiamy je naszym czytelnikom. Pani Jacqueline Caurat jest miła blondynką, podobno przed kamerą bardzo opanowana, elokwentna i w miarę intymna. My dodajemy od siebie, że podobna nieco do naszej Edyty Wojtczak. Prawda?

Gniewy na TV...

W Łodzi mamy obecnie — jak to powszechnie wiadomo — ok. 25 tys. telewizorów. To znaczy 25 tysięcy i coś tam jeszcze, ponieważ jak doniósł „Dziennik Łódzki" sprzed tygodnia pewien szczęśliwy łodzianin wygrał 14 calowy aparat w konkursie przemysłu elektronicznego i Zakładów Usług Radiotechnicznych i Telewizyjnych.

W tym samym dniu „Express Ilustrowany" donosił z przerażeniem jakoby spadła frekwencja w łódzkich kinach — w 1957 r. w kinach bawiło się 8.700 tys. łodzian, natomiast w roku 1959 — już tylko 7.780. Mało tego — w lipcu ub. r. w „Polonii" wykorzystanych było zaledwie 44,1 proc. miejsc, a w najbardziej kasowym kwietniu — wszystkiego 60,6 proc. Według domniemań „Expressu" winę za ten stan rzeczy ponosi oczywiście rozwój telewizji.

No dobrze. Ale w jednym i tym samym dniu ukazuje się na łamach „Głosu Robotniczego" utrzymany w nader ostrym tonie LIST OTWARTY zadresowany do Dyrekcji Programowej Telewizji. List mnoży zarzuty i domaga się wyjaśnień — i nie dziwota, jałowy bowiem i naszpikowany starymi filmami program telewizyjny mógł, szczególnie w ostatnim czasie i świętego wyprowadzić z równowagi.

Skończmy tłumaczyć się „eksperymentatorstwem" — głosi list — dawno już temu wyszliśmy bowiem z powijaków. Przestańmy mówić o deficytowości telewizji, ponieważ obecnie wpływy z 250 tysięcy zarejestrowanych odbiorników przynoszą dochód. Mówmy poważnie i rzeczowo — m. in. o tym, dlaczego autorzy programu tak mało liczą się z czasem, wypełniając ustawicznie wytwarzające się luki planszami z muzyczką, dlaczego — mimo wielokrotnych i obwarowanych terminami obietnic — wtorek jest wciąż w telewizji dniem wolnym i tak dalej i tak dalej.

Oto kilka informacji wyjętych z jednego tylko dnia łódzkiej prasy. Ze swej strony możemy tylko dodać, że solidaryzujemy się z podstawowymi zarzutami wysuniętymi przez „Głos Robotniczy" i myślimy w skrytości ducha, że jeżeli telewizja nie „błyśnie" w czasie olimpiady, to gniewy pod jej adresem spotęgują się stokrotnie.

...i olimpijska szansa

Albowiem — co prawda, to prawda — gorączka olimpijska natężyła się do tego stopnia, że jeżeli olimpiada w TV wypadnie przynajmniej znośnie, rzesze telewidzów wiele będą skłonne wybaczyć tej tak często krytykowanej instytucji.

Jak się wydaje, Telewizja gruntownie przygotowała się do wielkiej olimpijskiej kampanii, choć sprawne przeprowadzenie jej nie będzie na pewno łatwe. Jesteśmy związani licznymi i wielostronnymi umowami, musimy tedy lawirować tak, aby wszyscy kontrahenci byli zadowoleni.

W myśl umowy zawartej z Komitetem Olimpijskim Interwizja ma prawo wybrać 60 godzin ze 100 godzin transmitowanych przez telewizję włoską. W tych 60 godzinach musimy uwzględnić interesy NRD, Czechosłowacji i Węgier, a także NRF przez którą przeprowadzane będą transmisje.

W rezultacie zobaczymy przede wszystkim finały lekkoatletyczne, które zajmą blisko połowę programu, bo 26 godzin. No, to jest dobry pomysł, albowiem w lekkoatletyce liczymy właśnie na medale — Krzyszkowiak, Szmidt, Krzesińska, nie warto zresztą wyliczać dalej.

6 godzin zajmie boks — półfinały i finały, niestety niekompletne. Około 6 godzin transmisje piłkarskie - w tym druga połowa meczu Polska—Tunezja i oba mecze finałowe.

Gorzej wygląda szermierka, ponieważ nasza popisowa broń — szabla, w ogóle nie interesuje Włochów i nie mają zamiaru jej transmitować. Zamiast tego zobaczymy pływactwo, wioślarstwo, jeździectwo, gimnastykę, koszykówkę, wreszcie reportaże z otwarcia i zamknięcia Igrzysk.

Sprawozdawcami będą red. red. Gruda, Pach i Rzeszot, którzy przeprowadzą bezpośrednio część transmisji. Część natomiast programu będzie brana z obcych programów i komentowana przez naszych specjalistów w Warszawie.

Trasa transmisji — z Rzymu, przez Berlin do Katowic z pominięciem Pragi, co poważni powinno podnieść warunki odbioru.

Tyle informacji — gazety codzienne podały już szczegółowy program transmisji, my natomiast zamieścimy go raczej w następnym numerze, ponieważ zawsze mogą przecież zajść niespodziewane przesunięcia.

W tym tygodniu radzimy obejrzeć

Po obfitym programie niedzieli i poniedziałku, który to przynosił nawet rano rewie filmowych gwiazd z lat dawnych, filmy rozrywkowe i inne poszukiwane na ekranach frykasy, po okresie, który nazwaliśmy „tłustym" znów zapowiadamy program letni...

18 SIERPNIA, CZWARTEK

18.20 Wszystkie dni tygodnia. 18.50 „Historia pewnego lotu" — reportaż z pracy pogotowia lotniczego. 19.30 Dziennik telewizyjny. 19.55 W ośrodkach przygotowań olimpijskich — reportaż filmowy z cyklu „Z wizytą u olimpijczyków". 20.10 Polska Kronika Filmowa. 20.20 Teatr Sensacji „Kobra" — „Strach ma wielkie oczy" widowisko sensacyjne Marka Ponname. 21.35 Ostatnie wiadomości.

19 SIERPNIA, PIĄTEK

19.05 Program z cyklu „Śladami pięciu kółek olimpijskich" — część druga. 19.30 Dziennik telewizyjny. 19.55 Program z cyklu „Wszyscy jesteśmy sędziami". Film fabularny prod. francuskiej „Taras Bulba". 22.20 Ostatnie wiadomości.

20 SIERPNIA, SOBOTA

17.45 Film fabularny dla dzieci (z Łodzi). 19.10 W krajach socjalizmu: film pt. „Z kamerą nad Morzem Czarnym". 19.30 Dziennik Telewizyjny. 20.05 O sprawozdaniach telewizyjnych z Igrzysk Olimpijskich w Rzymie. 20.20 film krótkometrażowy. 20.40 Omówienie programu tygodnia. 20.55 Rozrywkowy program muzyczny — transmisja z Budapesztu.

TECHNIKA OBYWATELE!

Ludzie właśnie wymyślili, że elektryczne pralki świetnie nadają się do wyrobu masła. Wlewa się mleko czy śmietankę do pralki, puszcza motor i po paru minutach wybierasz już grudki masła. A maślankę spuszcza się gumowym przewodem do wiadra. Stąd też taki popyt na tanie pralki, bo zasadniczo te z elektrycznym podgrzewaczem nie są do produkcji masła potrzebne, a twarogów ani serów szwajcarskich jeszcze w pralkach nie robimy.

Kiedyś dojdziemy może i do tego, a tymczasem poinformujemy o nowym zastosowaniu odkurzacza. Skoro nasi rolnicy w zamian za masło zabierają nam pralki musimy prać swą odzież przy pomocy odkurzaczy. Pewien mąż pewnej artystki estradowej zajmujący się z musu praniem odzieży całej rodziny wymyślił iż gumowa rura podłączona w miejsce gdzie w odkurzaczu przyczepiony jest worek na kurz, a wpuszczona do zbiornika z wodą (pomieszaną ze środkami piorącymi) powoduje drgania wody, czyli po prostu bulgotanie, a tym samym pierze.

Run na odkurzacze zrobił się wielki! Jest też podobno mały zakład ślusarski, który wykonuje odpowiednio pojemne garnki do tego powietrznego płukania. A nasz przemysł nic! Produkuje pralki i odkurzacze nawet nie przewidując w reklamowych prospektach kolosalnych możliwości innego wykorzystania tych urządzeń.

A my tymczasem z pewnym niepokojem patrzymy na naszych kolegów z telewizji, którzy majstrując przy starej maszynce do mięsa wycinają tu i ówdzie nie nowe humoreski Grodzieńskiej. Jesienią będą z tego, być może, oryginalne łódzkie audycje satyryczne teatrzyku „A-KUKU!"

Cóż? Technika!

Muzeum brzydoły

Ty razem prezentujemy w naszym muzeum aż dwa „kwiatki". W pierwszym wypadku określenie „kwiatek" nie jest zresztą zbyt ścisłe. Chodzi mianowicie o ustawione na ulicach Łodzi okropne puszki na śmieci („muchomorki"). Jak powszechnie wiadomo puszki na śmieci są raczej wątpliwym elementem dekoracyjnym, można natomiast i należy dbać by były one w miarę czyste i niepogięte. Czy jednak konieczne jest malowanie puszek w mdłe kolorki i pokraczne postacie — o-śmielamy się wątpić.

Na temat drugiego „kwiatka" nie będziemy się zbytnio rozwodzić. Na poczcie na Starym Rynku znajduje się ogromnych rozmiarów malowidło przedstawiające dyliżans pocztowy, szóstkę koni, psa, a nawet gliniane garnki na płocie. I wszystko to przypominające najgorsze wzory tzw. „sztuki zdobniczej".

Malowidło rzeczone służy zapewne gwoli irytowania klientów. Nazwisko autora dzieła, który nie omieszkał złożyć na nim swego podpisu — dyskretnie przemilczymy.

Byłoby nieźle

Nareszcie uwzględniono postulaty łódzkiej prasy i od kilku dni rozpoczął działalność przy ul. Piotrkowskiej 35 pierwszy w Łodzi salon muzyczny zajmujący się tylko i wyłącznie sprzedażą płyt gramofonowych.

Byłoby nieźle gdyby tak jeszcze uruchomić w Łodzi coś w rodzaju muzycznego punktu „komisowo-antykwarycznego". Ręczymy, że powodzenie miałby murowane.

Warto przeczytać

Wydawnictwo Łódzkie wypuściło ostatnio na rynek dwie interesujące pozycje, które polecamy naszym czytelnikom.

Pierwsza z nich to proza Wacława Bilińskiego *„Lato po wojnie"* (była recenzowana notabene w „Odgłosach"). Książka ma wartką, potoczystą akcję i mówi o żołnierzach przeżywających pierwsze „pokojowe" lato. Rzecz naprawdę ciekawa.

Drugą godną polecenia pozycją (tym razem dla amatorów poezji) jest — dziś przez „Odgłosy" recenzowany — tomik wierszy łódzkiego poety tłumacza i dramaturga dwojga imion Jarosława - Marka Rymkiewicza. Tomik nosi tytuł *„Człowiek z głową jastrzębia"*.

Goście w Łodzi

W ubiegłym tygodniu Łódź miała wyjątkowe szczęście do gości „zespołowych", a więc przede wszystkim „Mazowsze", które w hali sportowej dało kilka jak zwykle entuzjastycznie przyjętych występów.

Gościli w naszym mieście również członkowie delegacji Bułgarskiego Ludowego Związku Chłopskiego zaproszeni do Polski przez Zjednoczone Stronnictwo Ludowe.

I wreszcie trzeci zespół gości. Byli nimi studenci niemieccy, członkowie FDJ, którzy w czasie pobytu w Łodzi i województwie zapoznali się z metodami pracy Związku Młodzieży Wiejskiej.

Kogo niebawem ujrzymy na estradzie

Chodzi oczywiście o krajowe i zagraniczne gwiazdy lekkiej muzy. Otóż jak się dowiadujemy, już we wrześniu ujrzymy w Łodzi Zofię Terne (komentarze chyba zbyteczne). Poza tym oprócz artystów francuskich i węgierskich, którzy również jesienią wystąpią w naszym mieście, przybędzie na występy do Polski (aż trudno uwierzyć) — sama Dalida — gwiazda pierwszej jasności wśród pieśniarek świata.

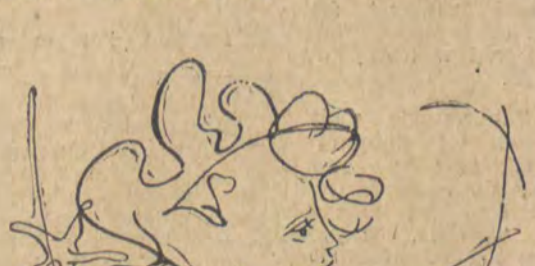

Redaguje Zespół ○ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" ○ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-78 Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca ○ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" ○ Druk: RSW Prasa" — Łódź, Zwirki 17. ○ Zam. 2475. VIII. 60. R-4

RYSZARD DOROBA

FRASZKI

CZYM CHATA...

Czym chata bogata?
Tym, co zwędzi tata.

A JEDNAK...

Choć nie śmierdzą mole,
naftalinę wolę.

KONIECZNOŚĆ

Ci, co chodzą z brudną duszą,
wciąż umywać ręce muszą.

PUNKT WIDZENIA

Długość cienia
zależy tylko od oświetlenia.

NAŚLADOWCY

Los naśladowcom się uśmiecha —
od głosów dłużej trwają echa.

IRONIA LOSU

Z Pompei zostały nici,
a z Sodomy — sodomici.

MIĘDZY USTAMI

Między ustami a brzegiem pucharu
są jeszcze usta zazdrośników paru.

PRZESTROGA

Spokoju ten nie zazna,
kto błaznem nazwie błazna.

WE DWOJE

Najlepiej w drogę ruszać razem —
ramiona wtedy są drogowskazem.

Z „DON JUANA"

Gdy Komandora kroki słychać,
uwodziciele nie chcą wzdychać.

ŻYCZENIE

Kiedy odejść trzeba będzie,
niech śpiewają mi łabędzie.

Najostrzejsze ołówki świata

ITALO FASAN

Niełatwo być karykaturzystą we współczesnych Włoszech: konkurencja ogromna, a zarobki najniższe w całej Europie. Jak się jednak jakoś złożyło, że ogromna ilość plastyków włoskich uprawia i lubi humor rysowany. Trudno się z tego wyłącznie utrzymać, trzeba szukać ubocznych dochodów. Omawiany niedawno na tym miejscu rzymski humorysta Moro Al żyje przec wszystkim z pensji urzędnika ministerialnego, a karykaturą i... komponowaniem piosenek zaledwie — dorabia...

Przedstawiany dziś w naszej rubryczce Italo Fasan reprezentuje jeszcze większą skalę talentów. Jest stałym (choć nieetatowym) reporterem wielkiego dziennika rzymskiego, pisze skecze rewiowe, teksty dla radia i telewizji. Ponadto ma w swym dorobku kilka książek dla dzieci i powieści kryminalnych. Wreszcie rysuje — żarty te przyniosły mu najwięcej rozgłosu, zwłaszcza cykl dowcipów o słoniach i polowaniu na grubego zwierza.

Fasan nie stawia na „nowinki", rzadko nawet rysuje żarty bez podpisu. Jest tradycjonalistą, ale w dobrym znaczeniu tego słowa, bo epitet „tradycjonalizm" dotyczy tylko formy jego rysuneczków, zawsze łatwo czytelnej i zrozumiałej pointy. Natomiast w zakresie treści pozostaje Fasan humorystą wielce pomysłowym, który potrafi ustrzec się banału.

Italo Fasan urodził się w 1917 r. w Padwie. Uważa się jednak za rdzennego Rzymianina, mieszka w stolicy Włoch już od 2-go roku życia.

(jert).

A teraz wystąpi Sewerino Pott, znany w całej Europie brzuchomówca

— Ma pan może przy sobie drobne na telefon.

— Który idiota nalał do suszarki benzyny?!

To ty zrobiłeś?

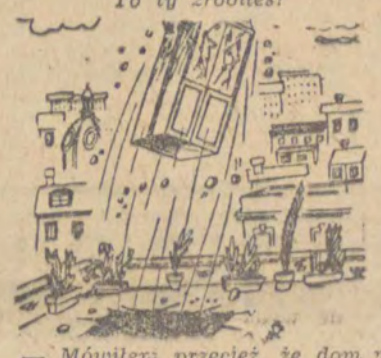

— Mówiłem przecież, że dom ma cztery piętra! Po co nacisnąłeś piąty guzik?

Kilka słów wyjaśnienia

Na liczne zapytania, jak zdobyć brakujące numery letniego pisma „Lunapark", informujemy, iż pewna skromna ilość „Odgłosów" jest do nabycia w sklepie „Ruchu" na przeciw RSW „Prasa" przy ul. Piotrkowskiej 96. W poprzednich numerach naszego organu podaliśmy sposób na sporządzenie elastycznego bulionu w bryłach oraz otwarliśmy „Poradnik dla słomianych wdowców".

Poruszyliśmy w nim problem naszych cierpień żołądkowych, spowodowanych spożyciem przyrządzonych przez nas własnoręcznie potraw, a szczególnie śniętej kury „a la cesarz Varus Heliogabalus" i zakończyliśmy rubrykę wyznaniem, iż zmęczeni życiem restauracyjnym i samotniczym bylibyśmy skłonni klęknąć na ulicy przed każdą pierwszą lepszą słomianą wdową i poprosić ją o przybycie do naszego domu nawet w towarzystwie urzędowej przyzwoitki - przedstawiciela MO w celu ugotowania nam jakiejś spożywanej przez wszystkich potrawki.

W propozycji naszej tkwił zamaskowany krzyk bezradności, który nieraz wydzierała z nas rozpacz, gdy jedną nogą stojąc na dolnym rogu koperty pościelowej staraliśmy się górny jej róg nadziać na kołdrę i potem ciągnąć energicznie kopertę, rozdzieraliśmy ją na dwie połowy... albo wtedy gdy prasując własne spodnie i równocześnie czytając, wypalaliśmy żelazkiem potężny kawał ich nogawki.

Zostaliśmy bowiem rzuceni na pastwę bezradności i męskiej gospodarczej bezsilności i chociaż powtarzaliśmy kiedyś, bodaj za Melchiorem Wańkowiczem, iż głupota kobiet została spowodowana ich za późnym zejściem z drzewa, w owych legendarnych czasach, kiedy nasi pierwsi rodzice dryopithecowie (małpy nadrzewne) żyją w koronach drzew, chociaż powtarzaliśmy to, w okresie słomianego wdowcostwa błogosławiliśmy fakt tego za późnego zejścia, bo naszym zdaniem spowodował on, iż kobieta wyspecjalizowała się w pilnowaniu ogniska, nie zajęła takiego napastniczego, agresywnego stosunku wobec innych dzikich zwierząt ale, nauczyła się wyręczać mężczyznę w wielu, zdawałoby się, drobnych sprawach, ale jakże ważnych w życiu stadłowym, jak chociażby zszywaniu mu futer, łataniu czapek, przyrządzaniu pieczystego zbieraniu robaków na przynętę, karmieniu dzieci i iskaniu go, co wyrobiło w niej zamiłowanie do czystości, skrzętności, rozwinęło bujną uczuciowość, cierpliwość, sumienność i skłonność do iskania go z pieniędzy.

Czymże bowiem byłby mężczyzna bez kobiety?

Kaleką psychicznym i fizycznym jak każdy przeciętny słomiany wdowiec, którym przecież nie zostaje się z własnej woli, lecz przez wybór przez żonę prawdziwej, nie fałszowanej przez fikcyjne umowne wychodne do kina, na tak zwane „kominki", na ploty; prawdziwej, a w wypadku nie posiadania małych dzieci — absolutnej wolności na urlopie na wczasach.

Proszę w niedzielę wyjść do któregoś z parków albo stanąć na ulicy i zobaczyć słomianych wdowców w ogródku, jak siedzą z osowiałymi minami, patrząc i nikogo nie widząc, albo też — zalewając robaka i nudząc się w towarzystwie tej przebrzydłej małpy Banasiakowej, co pachnąca jak magazyn pachnideł i wystrojona, jakby dopiero co popełniła większą kradzież mienia powszechnego, zarzuca haczyk na słomianych wdowców nie w celu iskania ich, ale w jakimś zapewne hulaszczym i — powiedzmy to bez rumieńca— dwuznacznym celu... Proszę to uczynić, a będziecie widzieli w czym rzecz. (Oczywiście mamy na myśli wdowców statecznych, ceniących nade wszystko małżeńską smycz, nie jakichś tam podstarzałych, zleżałych latawców, przelatujących jak motylek albo zadziorna pszczoła — z kwiatka na kwiatek, w celu wykorzystania jego... słabości, przelotnego osamotnienia i niewinnej skłonności do przebywania we dwoje.).

Proszę to uczynić, a dojdziecie do przekonania, iż na pewno słomianym wdowcem był wybitny humanista XVI wieku, a zarazem kabalista, wróż, archiwista, historiograf, pisarz i lekarz nadworny matki króla francuskiego, Henryk Korneliusz Agryppa ab Nettesheim, tym wdowcem był gdy tak pisał o kobiecie:

HENRYKA KORNELIUSZA AGRYPPY „O ŚLACHETNOŚCI A ZACNOŚCI PŁCI NIEWIEŚCIEY".

Dedykacja: *„Wszem cnotliwym paniam y pannam ku chwale a zalecaniu".*

„O ślachetności pogłowia niewieściego rozprawa sucha a podziwienia godna."

...„Niewiasta w raju, miejscu naślachetniejszym i narozkoszniejszym, stworzona jest wespół z anioły, a mąż (!) przed rajem na roli grubej uczyniony jest.

Mąż jest przyrodzona sprawa, a niewiasta uczynek boży.

Niewiasta pochopniejsza jest ku pojęciu jasności boskiej nad męża i częstokroć pełna jej bywa (niewiasty przecież są pobożniejsze), co się to jaśniej pokazuje z jej śliczności.

A ślądci ciałko niewieście ku wejrzeniu i dotknieniu jest narozkoszniejsze, subtelniuchne, barwy ślicznej, skóra na nim piękna a lśniąca, głowa ozdobna, włosy miękusieniczkie, lśniące, kształt oblicza wdzięczny, pożrzenie wesołe, lice ze wszech naśliczniejsze, szyja bieluczka, czoło wysokie, szyrokie, oczy ma czyrstwiejsze, jaśniejsze weselsze i wdzięczniejsze brwi nad nimi piękne zatoczone, jako dwa sznureczki kształtowne, przystojnie od siebie odsadzone, z których środku nosek wychodzi równiusieniczki i kształtowny, pod którym ustka rumianiuchne, z subtelniuchnemi wargeczkami, kształtownie, przystojnie od siebie odsadzone, z których gdy się trosiuchnę uśmiechnie, ząbeczki się ukazują ślicznieysze nad kość słoniową, których jest mniejsza ilość niż u męża, a przeto nie tak obmowna i objezdna" (żarłoczna).

Tak myślą o swych żonach, przebywających na wczasach, stateczni wdowcy słomiani, żarłoczni i obmowni, kąsani w czasie nocy bezsennych przez pchły, te jedyne żywe towarzyszki ich chwilowej samotności, kiedy ich pusty żołądek burczy jak fagot, jelita cienkie grają jak orkiestra symfoniczna — wszystkie najnowocześniejsze przeboje muzyki polifonicznej, programowej, dodekafonowej, atonalnej, elektronowej czy, rozpowszechniającej się zwolna, ale wytrwale — muzyki szmerów.

(Dalszy ciąg „Poradnika" w następnych numerach. Złożą się nań: Kilka jeszcze zdań Agryppy. Używanie uniwersalnego" „dogotowywacza" na podstawie „Kalendarza „Przyjaciółki", czyli kocherka dla słomianych wdowców, Rozpoznawanie słomianych wdów po zapachu, Pranie brylantów i złotych dolarów. Podlewanie kwiatów, Karmienie psów i złotych rybek, Czyszczenie haftów i staników — et caetera bomba.

CZYTAJCIE NAS I ROZPOWSZECHNIAJCIE, I MÓWCIE O NAS DOBRZE JAK O PICASSIE I „PRZEKROJU" LECZ NIE O INNYCH NOWSZYCH MALARZACH JAK O BRAQUE'U LEGERZE, STRZEMIŃSKIM, WICIŃSKIM, HILLERU, WEGNERZE, (OSTATNICH CZTERECH ŁODZIANACH!), KTÓRYCH TO PISMO Z TAJEMNICZYCH PRZYCZYN NIE LANSUJE.

Francuzi nie chodzą do kina

(KORESPONDENCJA WŁASNA)

Proszę, nie miejcie mi za złe, że w dzisiejszej — niedawno obiecanej — korespondencji, pogadam nieco o statystyce, przyrzekam poprawę następnym razem. Przecież jednak nie samym Hitchcockiem człowiek żyje, te trupy i pościgi na ekranie małego kina w Dzielnicy Łacińskiej układają się dla jego właściciela w całkiem konkretny, wymierny układ cyfr, wyznaczających jego budżet domowy, opłacenie kolejnych rat za nową Simkę, kalkulację wyjazdu na sierpień do Bretanii: albo do hotelu, albo **tylko** z namiotem. Jest we Francji tych „kinarzy" ok. pięć i pół tysiąca — ale i ta mała liczba pokazać nam może wcale pokaźny problem społeczny — że Francuzi nie chcą chodzić do kina... Niektórzy „kinlarze" żyją na własnym garnuszku, ci od skromnych salek w Quartiers, gdzie najczęściej zobaczysz starego Chaplina, inni — to figuranci, opłacani pensją i procentem przez potężne trusty francuskie i amerykańskie.

I oto co piąty, prawie co czwarty właściciel, lub dzierżawca, lub tylko kierownik kina **martwi się** dzisiaj, u schyłku lipca 1960. Sezon co prawda minął, frekwencja nie może być wielka, 50 procent zapełnionej sali nawet na Hitchcocku jest sukcesem. Ale czy w ogóle nastąpi **dla niego** — „co - piątego" właściciela i dzierżawcy — sezon **następny?** 1200 kin we Francji, blisko jedna czwarta sal, jeśli się nic nie zmieni, a do nagłych zmian ludzie tu nie są przyzwyczajeni — ma być **zamknięta** pod koniec roku.

Francuzi nie chcą chodzić do kina! Przestała być niezawodnym wabikiem Brigitte Bardot, nie ściągają widza tysiące statystów i hektarowe dekoracje amerykańskich superfilmów biblijnych. Największą frekwencję osiąga jeszcze stary, poczciwy lecz odrodzony na nowo western — dzięki młodzieży, jej nie wystarcza ciułacko-rentierski heros ojczyzny twardego franka. Dorosłych ściągnie jeszcze do kina **afera**, walą ludziska jak w dym na „Słodkie życie" Fellini.ego, bo Watykan protestował, jezuici klątwy miotają; „Regaty w San Francisco" reżysera Claude-Autant-Lara idą kompletami, skandal nienotowany, reżyser wyrzekł się autorstwa gdyż producent wyciął mu z filmu jedną trzecią pornografii, tylko dwie trzecie zostawił na pożarcie cenzurze — a cenzura nie pożarła! No i jeszcze „Niebezpieczene związki", nieustannie w drogich kinach przy pełnej sali, bo Roger Vadim ciągle na ustach wszystkich, specjalista od skandali, znów się rozwodzi, tym razem z uwielbianą i sławioną przez siebie Anette Stroyberg.

Afer nikt jednak nie sypie z rękawa, tu nie ma hollywoodzkich fachmanów od tych spraw, wreszcie i afery spowszednieć mogą — a frekwencja leci na łeb od 30, do siedemnastu procent przeciętnej! Nadszedł kolejny, chyba najbardziej smutny, Wielki Kryzys kina francuskiego, tym groźniejszy, że mniej na razie dotyczy twórców i producentów, ci jakoś zawsze wychodzą **na swoje**, poprzez eksport. Nadszedł Wielki Kryzys **nawyku**, przyzwyczajenia do kina.

Tłumy statystów, gigantyczne dekoracje — a widza zdobyć tak trudno.... (Na zdjęciu: kadr z filmu „Ben Hur".)

Wymienia się tu kilka przyczyn.

1. Telewizja, ten straszak piekielnie współczesnej kinematografii na całym świecie. Ale Francja jest znacznie słabiej „stelewizowana" niż USA, Anglia, nawet NRF. Zresztą — jak wspomniałem — superfilmy panoramiczne, barwne gigantyczne niemożliwe do oglądania na małym ekraniku — też nie dają spodziewanych rewelacji **kasowych**. Ponadto — wynaleziono cały system obronny przed konkurencją telewizji, filmu kategorii „A" nie ujrzysz w telewizorze przed upływem 2 lat od premiery.

2. Druga przyczyna — turystyka. Obserwuje się niebywały, owczy pęd do podróżowania, jak tylko kogo na to stać, skuterem, samochodem czy autostopem, tu nie chodzi tylko o zmianę miejsca — lecz o wręcz masowy exodus od cywilizacji. Rezerwaty nudystów przyjęły w ubiegłym roku 10 razy więcej amatorów, niż w 1958, a rok bieżący ma przynieść dalszy wzrost. Brzmi to może trochę śmiesznie, ale coś w tym jest...

„Słodkie życie" ma od kilku miesięcy w Paryżu rekordową frekwencję. Ale takie powodzenie należy dziś we Francji do rzadkości

3. Ceny biletów! Pewnie, wyższe, niż w Polsce, rodak ze skromną dietą, dobrze się musi zastanowić, zanim wyda 5 NFr do kina Marbeuf na Polach Elizejskich — woli przywieźć żonie parę nylonów. Ale filmy przechodzą później do kin dzielnicowych, gdzie można to samo zobaczyć i za franka.

4. Kryzys filmu francuskiego. Nie, nie czarujmy się, mimo spadku frekwencji **utrzymywał się** procent widzów oglądających ojczyste filmy, niezmienny od kilku lat, wysoki — bo wynoszący prawie połowę całej frekwencji. A ponadto — o kryzysie artystycznym tutejszej kinematografii mówi się od 15 lat — i co? Ile świetnych filmów powstało w tym czasie! Coś jak z poczciwym „Przekrojem", który ciągle się psuje...

A więc? Wniosków nie będzie, za wcześnie jeszcze na wnikliwą analizę, powszechna, chorobliwa niechęć do kina objawiła się tu nagle w ciągu niespełna dwóch lat. Pewne jest tylko że żaden z wyżej wymienionych czynników nie jest **decydujący**.

Z. PAROT

EKRANIK

W HOLLYWOOD dobiega końca budowa 2-kilometrowej „Alei sławy", ku czci najwybitniejszych filmowców amerykańskich. Wzdłuż alei wyryte jest w brązie aż 1500 nazwisk. Ale wśród tej ogromnej liczby wymienionych artystów zabrakło Charlie Chaplina. Czcigodni fundatorzy pomnika uznali oficjalnie, że Chaplin jako „czerwony" nie jest godzien uwiecznienia... Podobno nawet w związku z tym szereg czołowych osobistości filmu amerykańskiego odmówiło zgody na wyrycie swych nazwisk. Decyzję jednak podtrzymano...

PO RAZ PIERWSZY zagrali wspólnie FERNANDEL i amerykański komik (nieznany dotąd w Polsce — a ogromnie lubiany i popularny na Zachodzie) — BOB HOPE. Panoramiczny film nosi tytuł „We dwójkę w Paryżu", został nakręcony... w USA (!) — i oczywiście nie należy z tego powodu do zbyt udanych komedii. Tak przynajmniej twierdzi prasa brytyjska.

ZNÓW DOBRA WIADOMOŚĆ z karnecika zakupów Centrali Wynajmu Filmów. Oto zakwalifikowano na polskie ekrany klasyczny film „akademika" Rene Claira, „Milion" — z roku 1930. W kapitalnej opowieści o perypetiach z zagubionym losem loteryjnym gra ulubiona gwiazda lat trzydziestych — Annabella. Mamy nadzieję, że wznowiony „Milion" otrzyma dobre opracowanie wersji polskiej (kopiat).

NA OTWARCIE SEZONU jesienno zimowo-wiosennego, a więc już we wrześniu — otrzymamy potężną porcję świetnych filmów. Poza rewelacyjną, oczekiwaną z napięciem publiczną premierą „Krzyżaków" — wejdą na nasze ekrany m. in. następujące pozycje: „Rok pierwszy" (Karlove Vary!) W. Lesiewicza, francuskie — „Towarzysze broni" i „Hiroszima, moja miłość", oraz japońskie arcydzieło „Siedmiu samurajów". Sam zestaw tytułów wielce obiecujący...

DONALD

PÓŁ ŻARTEM, PÓŁ SERIO

„Pół żartem, pół serio" polecamy przynajmniej z pięciu powodów:

po pierwsze — są wakacje, nadmiar gorąca i niedostatek filmów istotnie ciekawych;

po drugie — w czasie upałów wymagania nasze w kwestiach artystycznych zmniejszają się znacznie;

po trzecie — „Pół żartem,pół serio" przewyższa większość komediofarsowych filmów ironią, w absurdalnej poincie widz poczuje dotkliwie jak robi się z niego „balona";

po czwarte — „Pół żartem..." można po raz pierwszy przyjrzeć się dokładnie sławnej sex-bombie Marilyn Monroe oraz tuzinowi innych zgrabnych dziewcząt;

po piąte — reżyserem filmu jest dobry, a niekiedy i ambitny rzemieślnik hollywoodzki — Billy Wilder („Bulwar Zachodzącego Słońca"), to także coś nie coś gwarantuje.

ŻAK

PÓŁ ŻARTEM, PÓŁ SERIO

Trudny temat współczesny podjął reżyser Wasilij Ordynski. Jego film zatytułowany „Maturzystki" dotyczy spraw ważkich w życiu młodzieży: lekkomyślności, nieprzemyślanych decyzji, chuligaństwa, krzywdy moralnej itp. Reżyser starał się te sprawy poruszyć na tle różnych środowisk młodzieżowych — studenckiego i robotniczego. Niestety, za bardzo poszufladkował charaktery swych bohaterów. Konflikty ukazanej w „Maturzystkach" młodzieży są na pewno prawdziwe, życiowe, niestety, nie mają umotywowania w akcji filmu, a ich rozwiązania zostały poruszone bardzo prymitywnie i płytko. Rysunek psychiki bohaterów jest jednostronny, wzorowany na ogranych już schematach, które dość dawno poszły do lamusa.

„Maturzystki" Ordyńskiego należą do szerokiego wachlarza radzieckiej produkcji filmowej, która podejmuje również dużą ilościowo produkcję filmów kategorii B.

Film mimo słabego scenariusza można oglądać dzięki dość sprawnej reżyserii i miłym, młodym odtwórcom głównych ról. Również na nieudanych filmach uczą się nie tylko twórcy ale także widzowie oraz recenzenci którzy znajdują się w sytuacji nieraz kłopotliwej.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

ARCHIWUM

Nicole Badal i Nadia Tiller w filmie niemieckim „Labirynt"